1

K. Wł. Wójcicki

Kawa literacka
w Warszawie

Wrz 1873

KAWA LITERACKA

W WARSZAWIE.

(r. 1829—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

WARSZAWA.
Nakładem Gebethnera i Wolffa.

1873.

a204158

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

Дозволено Цензурою.

Варшава 12 Марта 1873 года.

121875

Druk J. Bergera, Daniłowiczowska N. 619.

I.

Brak salonów literackich w Warszawie. Obiady uczone u Wincentego hr. Krasińskiego. Konstanty Gaszyński. Franciszek Morawski. Jaksa Marcinkowski. Poemat *Jaksajda*. Kawiarnia pod Kopciuszkiem. Artyści i literaci w niéj się zbierający. Franciszek Salezy Dmochowski. Dominik Lisiecki. Ludwik Osiński. Bruno Kiciński. Aloizy Żółkowski. Kudlicz. Kazimierz Brodziński. „*Suchy las.*“ L. A. Dmuszewski redaktor Kuryera Warszawskiego.

W rozbudzoném życiu literackiém jakie się pojawiło od roku 1825, szczególniéj w latach 1829 i 1830, niepoślednie miejsce zajmują *kawiarnie*, gdzie się wielu z pisarzy, głównie młodych zbiérało i poznajamiało.

Salonów literackich Warszawa nie miała, tylko u Wincentego hrabiego Krasińskiego zbiérało się liczne grono pisarzy na smaczne obiady, ale tam jedynie wybrane osoby były ich uczestnikami. Z młodzieży zaś bywał Antoni Edward Odyniec, Franciszek Salezy Dmochowski i dwaj przyjaciele syna generała Krasińskiego, Zygmunta, Konstanty Gaszyński i Dominik Magnuszewski. Piérwszy zyskał sobie

na nich rozgłos poematem dowcipnym *Jaksajda*, w którym na pośmiech oddawał zgromadzonym przeważnie *klassykom*, Jaksę Marcinkowskiego, wierszopisarza, którego sobie za cel swych żartów obrało to towarzystwo uczonych. Z niego, najzdolniejszy i z prawdziwym talentem poetycznym Franciszek Morawski, ośmielił Gaszyńskiego do wyszydzenia starszego wiekiem człowieka, co mu nie chwalono, bo wówczas jeszcze wiek szanowano. Ale młody poeta, jakże nie miał iść za przykładem właśnie starszego, który tak znakomite miejsce zajmował na uczonych obiadach, gdy był świadkiem, jak przy stole u W. hr. Krasińskiego, sam Fr. Morawski odczytał swój wiersz:

„Do milczącego Jaksy."

„Sowo Minerwy, perło Apolla,
Szczytna topoli w poetów klombie,
Ty, coś tak piękne grywał nam *sola*,
Na Feba trąbie.

Sławny pijaku krynic Parnaskich,
Coś *Bielawskiego*, coś *Jacka* przepił [1]),
Któż ci na wieczny smutek Morawskich,
Gębę zalepił?

Był czas, gdy jeden Bóg nas prowadził,
I przyjacielskie godził nam lutnie,
A każdy z nas się na koncept sadził,
Kto lepiéj utnie.

Wtenczasto, jakby Etna wzburzona,
Wiersze-ś nam miotał, wierszem grzmiał, ryczał;
Dziarski twój pegaz zadarł ogona,
Wierzgał i kwiczał.

---

[1]) Józef Bielawski, cel szyderstw Kajetana Węgierskiego, był autorem komedyi *Natręty*, którą na piérwsze otwarcie narodowego teatru w Warszawie odegrano dnia 19 listopada 1765 roku. *Jacek*, jestto Jacek Przybylski mąż uczony, stale mieszkający w Krakowie, tłumacz Iliady, Odyssei, Luzyady, i wielu innych, pod żadnym względem nie zasługuje na porównanie z Bielawskim, i wystawianie prac jego na śmieszność, któréj sobie dozwalali klassycy.

Każden ci wprawdzie łatki przypinał,
Lecz i tyś dowiódł że umiesz kąsać;
Poznał świat wówczas, co za kryminał,
Jaksą potrząsać!

I zkąd-że po téj bójce tak grackiéj,
Milczysz na wieczne dni mych zatrucie;
Zapiéj! ach zapiéj! grzędy sarmackiéj
Sławny koguciel"

Znałem osobiście Marcinkowskiego: człowiek uprzejmy w obejściu, ochotnie przyjmowany, nawet po towarzystwach, miał dwie słabości, któremi się odznaczał: słabość do płci pięknéj, i słabość do pisania nędznych wierszy, a nawet deklamowania improwizacyi. Lubionym był pomimo to, a ja będąc studentem, patrzałem nań z pewnym rodzajem uszanowania, wiedząc, że *drukował* swoje utwory. Z tych, kobiéty chwaliły szczególniéj poemat *Gorset*, którego treścią była śmierć jakiéjś hrabianki, zrządzona przez zbyteczne ściskanie się sznurówką. Szukając polepszenia losu, przybył z Wołynia do Warszawy, z listem polecającym do Wincentego hr. Krasińskiego, nie przewidując, że w nim przywozi zarazem tę samą śmieszność, którą go obsypywano na Wołyniu. Krasiński, Koźmian, Osiński i Morawski, znaleźli w nim wyborny materyał, który dostarczy przedmiotu do zabawki i śmiechu, tak potrzebnego po dobrym obiedzie. Od téj chwili, Marcinkowski zapraszany do gościnnego pałacu generała, na każdym znajdował się obiedzie *uczonym*, znosząc cierpliwie żarty i drwiny, bo lubił dobrze zjeść i popijać wytrawnego węgrzyna, którego na tym stole nie brakło.

Fr. Morawski nie dawał mu spokoju: dowiedziawszy się, że *Godebski* dawniejszy redaktor tygodnika *Wandy*, dociął jakimś żartem dowcipnym Marcinkowskiego, bierze jego obronę, i w jego imieniu pisze *odpowiedź* Godebskiemu, która jest najzjadliwszą satyrą biédnego Jaksy, i tak ją zakończa groźnie:

„Ciszéj więc bratku, gdyż naostatku,
Jak się rozjuszę i z zemstą ruszę,
Tak ci dogryzę, przez improwizę,
I taki na cię, w drwin tych odpłacie,
Lunę trzy-dniowy potop rymowy,
Że z strachu cały, jak trup skostniały,

Świata się zrzekniesz, w piekło uciekniesz,
A ja tam nawet, płacąc wet za wet,
Na kark ci wsiędę, wiersze ciąć będę,
I tak z ich hurmem, uderzę szturmem,
Że wszystko zburzę, diabłów wykurzę:
Sam szatan ryknie, o litość krzyknie!
Tak wreszcie dzielny, długi, piekielny,
Wiersz ci zawyję, że mózg ci zryje,
Szpik ci wysuszy, piekła zagłuszy,
I jak lew w dziczy, wieczność przeryczy."

Marcinkowski, dla pozyskania jakiegoś stanowiska i zwrócenia uwagi, wyjednał sobie *krzyżyk miechowski*, z którym się zawsze nosił. Wspominam o tém, bo ten krzyżyk gra właśnie rolę w poemacie *Jaksajda*.

Konstanty Gaszyński w dwudziestym roku życia wszedłszy na pole literackie, zapragnął i na *uczonych obiadach* zajaśnieć: poszedł więc śladami Morawskiego, i dla zabawy gości zwyczajnych napisał ten poemat, dając mu tytuł od imienia bohatéra. Treścią jego było, że duchy piekielne, oburzone sławą *Jaksy*, umyśliły wykraść mu wenę poetyczną.

Wysłany *Mefistofiles* do Płocka, gdzie właśnie Jaksa Marcinkowski był inspektorem przy gimnazyum, zszedł go śpiącego smacznie po dobrym obiedzie, i zabrał się do wykonania swego posłannictwa. Ale zaledwie zbliżył się do łoża, na którém spoczywał poeta, odskoczył sparzony strasznie o *krzyżyk miechowski*, który nosił przy fraku, surducie i szlafroku, a właśnie szlafrokiem był przykryty. Ostrożnie przeto jednym różkiem ściągnął go na ziemię, i oswobodzony od groźnego wroga, usiadł wygodnie na piersiach chrapiącego autora *Gorsetu*.

„Trudów i pracy nie szczędził,
Póty chuchał, póty dmuchał,
Aż z Jaksy wenę wypędził.
Wyszła z niego wena sławna,
Ale chuda, wynędzniała,
Suchoty cierpiała zdawna,
Na drżących nóżkach się chwiała.
Mefistofil widząc jaśnie,
Że mu niezadługo zgaśnie,
Lub ustanie pośród drogi,

Ulitował się niebogi,
I do kieszeni ją schował;
A tak rzecz sprawiwszy ślicznie,
Uniósł się w górę jak piórko,
Czyli mówiąc romantycznie,
Wraz czmychnął od klucza dziurką."

Budzi się Jaksa po śnie męczącym, czuje nagłą zmianę, zasiada do rymowania, nie może wszakże znaléźć i schwytać końcówek: w rozpaczy chce sobie życie odebrać. Ale bożkowie Olimpu wysyłają *Merkurego*, który zatrzymuje jego samobójczą rękę, i wprowadza na Parnas, gdzie dostaje nową wenę, którą orzeźwiony, wraca uszczęśliwiony na ziemię [1]).

Ubawił serdecznie starych *klassyków* ten dowcipny poemacik, chociaż w nim nie umieli dopatrzéć satyry ukrytéj, że w klasycznym *Parnasie* przyjmują takich nędznych wierszokletów i bogowie Olimpu, tak niedołężne rozdają *weny* poetyckie. Cieszyli się wielce za docinek *romantyczności*, która wstrętném widmem dla nich była: ale Gaszyński pomiarkowawszy się w piérwszym zapale młodzieńczym, lubo *Jaksajda* rozbiegła się w licznych kopijach, nigdy nie podał jéj do druku.

Młodszych uczestników oburzało to szyderstwo z biédaka, który się bronić nie potrafił; ztąd téż jeden z nich, F. S. Dmochowski w szlachetném oburzeniu nadesłał gospodarzowi wiersz z ostrą naganą, który zakończył temi słowy:

„Czyś go na to zaprosił do swojego stołu,
Ażebyś go biczował za łyżkę rosołu?"

O tych *obiadach uczonych* przychodziły do nas szczegóły na zebraniach w kawiarniach literackich, o których zamierzamy obszernie pomówić, w nich bowiem całe młodsze pokolenie i najznakomitsi poeci miewali swoje salony literackie.

Najdawniejszą kawiarnią była pod znakiem *Kopciuszka*, otworzona w roku 1819 na Długiéj ulicy w *domu Baldego* [2]).

---

[1]) Jaksa Marcinkowski w końcu 1830 roku dostał ataku paraliżu na mózg, i w parę miesięcy potém umarł w domu obłąkanych u Bonifratrów w Warszawie.

[2]) Dom ten dziś własnością p. Naimskiego będący, ma Nr. 550 hypoteczny a 20 nowy.

Tu (gdy nieznano i nie używano wcale herbaty) niemal co wieczór przychodzili *Ludwik Osiński*, *Kazimierz Brodziński*, *Bruno Kiciński*, *Brykczyński*, *L. Dmuszewski*, *Kudlicz*, *Zdanowicz* artyści dramatyczni, *Elsner i Kurpiński* dyrektorowie opery teatru narodowego. Był tu stałym gościem i *Aloizy Żółkowski* piérwszy komik tegoż teatru i redaktor *Momusa*, który dowcipkami i anegdotami, oraz prawdziwym humorem ożywiał te zebrania i był ich, rzec można, duszą. Tu on, nieraz zdobywał do swych *Fraszek* zasoby, lub z potocznéj rozmowy brał wątek do dykteryjek swoich: tu powziął myśl do swéj *Wyspy pomyślności*, którą gdy przedeklamował późniéj, cichy Brodziński i milczący więcéj Zdanowicz przyznali jednozgodnie, że chętnieby się na nią przenieśli, bo ma tyle powabów, że na sam jéj opis każdy się człowiek ze smakiem oblizuje. W téj kawiarni opowiadał z humorem sobie właściwym, treść swego libretta do opery w dwóch aktach: „*Szarlatan czyli Wskrzeszenie umarłych*“ tak pełne dowcipu, że wszyscy dobrze się ubawili i uśmieli, a Kurpiński zobowiązał się do napisania muzyki do niéj. Spełnił swoje przyrzeczenie, a *Szarlatan* zyskał świetne powodzenie na scenie [1]).

Z młodszych pisarzy bywali tu: Franciszek Salezy Dmochowski i Dominik Lisiecki. Ostatni miał już rozgłos w literaturze niemały: należał bowiem wraz z Brunonem Kicińskim do wydawnictwa kilku pism peryodycznych, jak *Tygodnika Polskiego* i *Wandy*. Wiele tłumaczył dla teatru narodowego: z tragedyi: *Polieukta* Kornela i *Śmierć Cezara*, Woltera; z komedyi De-

---

[1]) Po śmierci Żółkowskiego wydane zostało to libretto w roku 1828: (*Szarlatan czyli Wskrzeszenie umarłych*, opera w dwóch aktach napisana przez Aloizego Żółkowskiego. Dochód z tego wydania przeznaczony jest na pomnożenie funduszu na nagrobek Aloizego Żółkowskiego. Warszawa. W drukarni Józefa Węckiego 1828 r.). W 12-ce str. 132. Na czele mieści się popiersie autora, z tym dwuwierszem L. Osińskiego:

„Mistrzowskim w sztuce swojéj postępując torem,
Był rozkoszą słuchaczów a grających wzorem.“

Są tu i nuty do jednéj pieśni.

lavign'a: *Szkołę starców* i *Niestały*; na współkę zaś z Fr. S. Dmochowskim Moliera: „*Kto się kocha ten się kłóci.*“ Wszystkie te sztuki zalecające się pięknym wierszem i językiem, były przedstawiane na scenie. Najwięcéj imie jego rozgłosiły przekłady tragedyi Kazimierza Delavign'a: „*Nieszpory Sycylijskie*“ i *Dumania poety Alfonsa Lamartina.* Oba te utwory tak przypadły do smaku ówczesnéj publiczności, to przez treść swoją ognistą, to znów jak *Dumania*, przemawiając do serc tkliwych, nastrojonych rzewnością, że gdy wyszły w roku 1820 z pod prassy drukarskiéj, wprędce rozkupione zostały i wyczerpnięte z obiegu handlu księgarskiego.

Elsner Józef szlązak ze wsi *Grotkowa*, blizko granicy królestwa Polskiego położonéj, dyrektor opery polskiéj od ostatnich lat XVIII stulecia, był znany powszechnie z wielce popularnéj opery *Król Łokietek*, któréj libretto napisał L. A. Dmuszewski; nadto jako autor ważnéj rozprawy: „*O metryczności i rytmiczności języka Polskiego.*“ (Warszawa 1818 roku).

Drugim dyrektorem opery polskiéj był *Karol Kurpiński*, który do wielu oper treści krajowéj J. U. Niemcewicza, pisał muzykę, a oprócz tego znanym był w literaturze jako redaktor *Tygodnika muzycznego* (1821 r.) i „Rzutu oka *na operę w Polsce.*“ Melodye jego brzmiały po kościołach naszych, bo je podkładał pod nabożne pieśni J. D. Minasowicza.

Niebrakło w tém gronie dobréj tuszy braci literatów, do tego rzędu należeli Osiński, Kiciński, Kudlicz i Żółkowski; do wychudłych Brodziński i Zdanowicz: reszta stanowiła pośrednie przejście.

Kiciński okrągłéj, pełnéj twarzy i czerwonych policzków, miał wzrok krótki i oczy wypukłe; nizkiego wzrostu, był wielce ruchliwy: tłumaczył właśnie *Metamorfozy* Owidyusza i z upodobaniem powtarzał z nich ustępy. Osiński go zachęcał, pochwalał, i od czasu do czasu rzucał jakimś dowcipkiem, lub epigramatem. Obaj należeli do Ateuszów, gorących zwolenników filozofii Woltera, i z tymi zasadami bynajmniéj się nie kryli. Pomimo to, nie lubiono wszczynać i prowadzić rozpraw dotyczących wiary i sumienia, dla tego chociaż czasem Kiciński zagaił rzecz w tym kierunku, zaraz go drudzy zawracali na drogę literatury i sztuki. A przedmiotów nie brakło nigdy, tém bardziéj, gdy żywo

się zajmowano szlachetną pracą nad prawidłami bogatego języka, ażeby go nagiąć do wymogów muzyki i płynnego śpiewu.

Przed dziesięciu już laty, wyszło w tym przedmiocie ważne dzieło *I. F. Królikowskiego* (ojca naszego znakomitego artysty dramatycznego), professora języka polskiego i literatury polskiéj przy gimnazyum poznańskiem, p. n. *Prozodya, czyli o śpiewności i miarach języka polskiego, z przykładami w nutach muzycznych.*" Autor, jako uczony professor i jako muzyk, bo sam był biegłym skrzypkiem, rozwijał ten przedmiot jasno i zrozumiale: z téj pracy I. F. Królikowskiego korzystał Mickiewicz, jako sam przyznaje przy pisaniu owéj pieśni: „*Zkąd to wracali Litwini*?"

Teatr narodowy, związany tylą żywotnemi ogniwami ze swoją społecznością, dla którego tak całe grono jak i Brodziński usilnie pracowali, dawał osnowy niemało do pełnéj zajęcia i uczącéj pogawędki. Osiński rzucał swe myśli co do umiejętnego tłumaczenia z obcych języków, strzeżenia czystości języka, i baczenia na potoczystość wiersza i jego harmonią: w czém sam górował wówczas po nad wszystkiemi.

Brodziński ze Zdanowiczem mieli głowy małe, oblicza drobne, z wyrazem melancholijnym, byli jednego wzrostu. Dmochowski co do wzrostu i zewnętrznéj postaci zbliżał się do Osińskiego i Dmuszewskiego, wraz z Dominikiem Lisieckim. Żywego usposobienia, ciągle lubił rozprawiać: pogawędkę swoją przeplatał mnóstwem wierszy, już to po większéj części swoich, już i obcych, a lubił deklamować, i miał pamięć znakomitą. Dość mu było raz przeczytać lub usłyszéć głównie wierszy 200 lub 300, a powtórzył je dosłownie; prozy tak nie pamiętał.

Kudlicz nie był wcale rozmowny, ale gdy go chciano poruszyć, używano jedynego sposobu, wspomnienia Napoleona I-go, którego gorącym był zwolennikiem. Wtedy rozwiązywał mu się język, rozgrzewał się nadzwyczaj i wpadał w zapał. Uprzejmy i grzeczny, stawał się nawet grubijaninem jeżeli ktoś z nieprzychylném słówkiem śmiał się odezwać o upadłym cesarzu, osadzonym na skalistéj wyspie Ś-téj Heleny. Przez długi przeciąg czasu zachował wiarę głęboką, że wydostanie się z niewoli i na nowo podniesie zwycięzki sztandar.

Brodziński, który odbył kampanię 1812 roku, i cudem prawie ocalał z pod Berezyny, nie miał tego zaufania bynajmniéj,

ale małomówny milczał, bo nie chciał sprzeciwiać się znakomitemu artyście dramatycznemu, z którym go łączyły stosunki przyjaźni. Wśród gorętszéj rozprawy, trzymał się ze Zdanowiczem na uboczu.

Lisiecki przychodził tu dla dwóch swych przyjaciół Kicińskiego i Dmochowskiego, ale mniejszy brał udział w rozmowie, lubo chętnie bawił w tém towarzystwie, bo cenił wysoko Osińskiego i szukał u niego poparcia, żeby przekłady jego dramatyczne mogły się co rychléj ukazać na scenie, a Osiński właśnie w tym czasie był dyrektorem Teatru Narodowego, objąwszy zarząd jego po swym teściu Wojciechu Bogusławskim. Lisieckiemu nie szło bynajmniéj o jakikolwiek zarobek, bo teatr nic nie płacił, ale pragnął widzieć swoją pracę niezmarnowaną daremnie.

Całe zgromadzenie wyczekiwało tęskliwie na przybycie Żółkowskiego, wstrzymywali się nieraz ze smaczną kawą, ażeby razem ją wypić. Jeszcze był na ulicy, a już w kawiarni wiedziano o tém, i witano go serdecznie. Każdy miał tu swoje miejsce uprzywilejowane, które zajmował: po wydatném obliczu redaktora *Momusa*, już wiedziano czy w dobrym jest humorze, lub coś go trapi. Oblicze to bowiem okrągłe, jak *księżyc w pełni*, wedle wyrażenia Zdanowicza, napozór nie ruchliwe, przy mocno wypukłych oczach, nabiérało szczególnie komicznego wyrazu, gdy radość i wesele czuł ten niezapomniany artysta i pisarz, lub gdy napadła go bojaźń lub trwoga. Nikt nie zgadywał jakie uczucie grało mu w piersi, ale każdy śmiał się serdecznie, spoglądając na fizyognomię jaką wonczas nastroił.

Późniéj towarzystwo tu zbierające się przeniosło się do kawiarni na *Suchym lesie*, na téjże ulicy, która następnie po wielu latach zachowując nazwę swoją, mieściła się na piętrze w domu *Epsteina* na Krasińskim placu [1]). Ale gdym ją odwiedził o naznaczonéj godzinie, znalazłem z całego dawnego towarzystwa, tylko jednego Dmuszewskiego: Brodziński, Osiński, Zdanowicz,

---

[1]) „*Suchy las*“ dom przy ulicy Długiéj Nr. 10 na prost *cerkwi*; dziś własność Aleksandra Prażmowskiego. Znaliśmy sędziwych mieszczan warszawskich, którzy w dziecinnych latach pamiętali stojące jeszcze w tém miejscu ostatnie sosny i dęby.

Żółkowski, Kudlicz, Kiciński, już spoczęli w mogiłach wraz z Lisieckim, a żyjący Dmochowski przemieszkiwał na wsi.

Dawny jednak zwyczaj tu zachował Dmuszewski. Na parę godzin przed zaczęciem się teatru, przychodził codzień regularnie i zajmował swoje miejsce: już jego zwolennicy nań oczekiwali z upragnieniem. Dmuszewski zasiadłszy, podnosił na czoło złote okulary, pobębnił palcami po stole, i po téj przygrywce dopiéro pytał:

— Cóż tam słychać nowego?

Zbiérał tu bowiem wiadomości do swego *Kuryera Warszawskiego*. Każdy więc z obecnych opowiadał najświeższe nowiny, wypijano kawę, i o jednéj godzinie rozchodzili się wszyscy, a Dmuszewski wolnym krokiem wracał do *Teatru Wielkiego* i *Rozmaitości*, w których był dyrektorem. Był on ostatniém ogniwem wiążącym pamięć sceny czasów Bogusławskiego i Osińskiego, z nowym okresem teatru w Warszawie.

II.

Kawiarnia Brzezińskiéj. Tomasz Święcki. Kazimierz Lux. Seweryn Goszczyński. Ludwik Nabielak, przekład jego „*Rękopismu Krolodworskiego*“. Ignacy Dobrzyński. Michał Podczaszyński. Maurycy Mochnacki. Konstanty Gaszyński. Leon Zienkowicz. „Pamiętnik dla płci pięknéj“. Sonetomania. Sonety J. N. Kamińskiego. Konstanty Danielewicz. Rajnold Suchodolski. Fryderyk Szopen. Dominik Magnuszewski. Dominik Borakowski.

Drugą kawiarnią słynną z wybornéj kawy na całe nasze miasto, była tak zwana *Brzezińskiéj*, od imienia jéj właścicielki. Mieściła się ona obok *poczty* na Krakowskiem-Przedmieściu [1]). Cały lokal składał się z małego bufetu i wchodowego pokoju zarazem, gdzie przy kominku przygotowywała się doskonała kawa, i z dwóch, z obu stron jego pokoi większych, jeden od wązkiéj ulicy *Koziéj*, drugi od ciemnego podwórka. Były to ulubione salony dla młodzieży tak z Uniwersytetu, jak burszów,

[1]) Dom ten zamienionym został na *Hotel Kowieński*. (Ulica Kozia Nr. 1). Kawiarnia mieściła się na dole wszedłszy bramą, po prawéj ręce.

uczniów szkół wyższych i literatów nawet poważnych wiekiem. Usługiwały tu małe dziewczęta, które następnie właścicielka bezdzietna wyposażała i za mąż wydawała. Nie palono wcale fajek, a ściągało się tu zawsze liczne grono, już od piérwszéj godziny w południe zwolenników kawy, a wieczorem schodzono się na smaczny ponczyk. Wszystkie owoczesne pisma jak gazety i poważniejsze dzienniki były do czytania. *Dziennik Warszawski* pod redakcyą Kazimierza Ordyńca, *Pamiętnik Lacha Szyrmy*, *Rozrywki dla dzieci* Klementyny Tańskiéj i inne. Cisza panowała wzorowa: czasami tylko przerywana tłumioną rozmową, ażeby nie przeszkadzać czytającym.

Bywał tu częstym gościem *Tomasz Święcki*, mecenas, autor dzieła: *Opis starożytnéj Polski*, które pobudziło wielu do poznajomienia się bliżéj z własnym krajem. Właśnie przed rokiem wydał *drugie wydanie* téj szacownéj pracy, i mającéj niemałe znaczenie w literaturze naszéj na owe czasy. W téj edycyi, w przypisku pod Warszawą, załączył opis mój odebrania tego miasta z rąk Szwedów za Jana Kazimierza. Rozprawka ta drukowana poprzednio w *Dzienniku Warszawskim*, dała mi sposobność szczęśliwą zbliżenia się i poznania osobiście Joachima Lelewela; stosunek ten utrwalił się więcéj w następnych latach.

Święcki, postacią całą przypominał dawnych kontuszowców: wzrostu wysokiego, wysmukły jak topola, żył w ścisłéj przyjaźni ze *Skorochodem Majewskim*, metrykantem, badaczem sanskrytu, w co włożył znaczniejszą część swego majątku; mecenasem *Ziemięckim*, (teściem znanéj pisarki) i *Plichtą*. Wszyscy nosili się po polsku, i w jego domu poznałem ich zblizka.

Rzadszym gościem bywał tu major *Kazimierz Lux*, bo tylko wtedy kiedy za urlopem przyjechał do Warszawy, a pełnił wówczas urząd komissarza obwodowego na prowincyi. Pracował właśnie nad historyą Legionów we Włoszech i na wyspie San-Domingo, w których miał osobisty udział. Posiadał dobrze pięć języków: francuzki, niemiecki, angielski, włoski i hiszpański. Pomimo piątego krzyżyka, wyniosłego wzrostu trzymał się prosto i krzepko, lubo na obliczu pozostały wyraźne ślady przebytych trudów w obozach, pod skwarném niebem i na pontonach angielskich. Opracował zajmujący opis i szczegó-

łowy wyspy *San-Domingo*, tak pod względem jéj bogactw natury, jak i historycznym [1]). Należał on do téj garstki 150, która otoczona tysiącami zajadłych murzynów, pod dowództwem *Blumera* potrafiła się przedrzéć z głębi wyspy, dostać do wybrzeży morskich, i ocaléć na pokładzie francuzkiego okrętu. Kiedy stale późniéj osiadł w Warszawie, widziałem u niego stosy notat w rozmaitych językach, jakie zgromadził do tego dzieła, które wykończył zupełnie w rękopiśmie ogromnym [2]).

Zajęty byłem rozmową ze Święckim, gdy wszedł do téj kawiarni młody mężczyzna dobrego wzrostu, skromnie ubrany, w szaraczkowym płaszczu bo deszcz przepadywał. Święcki wyszedł, a on znalazłszy przy moim stoliku wygodniejsze miejsce, zasiadł i zaczął czytać *Gazetę polską*. I ja jakieś pismo przerzucałem: milczeliśmy oba, pusto było w kawiarni, byliśmy sami, gdy zapytał mnie nagle:

— Czy pan z Warszawy?

— To miasto moje rodzinne:—odrzekłem. A pan?

— Ja Ukrainiec!

— Cieszę się wielce że mam sposobność mówienia z mieszkańcem Ukrainy, bo może mnie pan raczy objaśnić o poecie, którego poemat był najprzód w wyjątkach drukowany przed dwoma laty bezimiennie w *Dzienniku Warszawskim* Ordyńca, którego jestem stałym współpracownikiem, a przed rokiem już z wydanéj całości mieliśmy ustępy [3]).

---

[1]) Rękopism ten, blisko w ćwierć wieku późniéj, po śmierci K. Luxa wydrukowałem w Bibliotece Warszawskiéj w roku 1854.

[2]) Rękopism ten składał się z tysiąca dwóch stronnic, i z niego pułkownik *Piotr Bazyli Wierzbicki* towarzysz broni Luxa, pod swojém imieniem w Bibliotece Warszawskiéj (Tom I z roku 1847) dał małe wyjątki, przyswoiwszy cały rękopism na swoją własność. Lux tego postąpienia z pracą tak mozolną, i téj grabieży zapomnieć nie mógł, protestował głośno i publicznie, ale już go nie odebrał.

[3]) I. K. Ordyniec w tomie IX *Dziennika Warszawskiego* z 1827 roku ogłosił wyjątki z części 2-éj „*Zamku Kaniowskiego*.“ ale bezimiennie. Poprzednio Fr. Grzymała w *Astrei* wydrukował wiersz S. Goszczyńskiego p. n. *Przechadzka*, ale z mnóstwem błędów drukarskich. Skoro w całości ukazał się *Zamek Kaniowski* z drukarni Natana Glücksberga, Ordyniec ze wszystkich trzech pieśni dał małe ustępy. (*Dziennik Warszawski*. Tom XII, 1828 r).

— O jakim poemacie chcesz pan mówić? — zapytał i oblicze jego pospolitych rysów, nabrało niezwykłego ożywienia. Żywy rumieniec ubarwił je, a oczy dotąd jak za mgłą, zajaśniały blaskiem ognia.

— Mówię o *Zamku Kaniowskim* i jego autorze Sewerynie Goszczyńskim.

Na chwilę zamilkł, a potém z uśmiechem zapytał, jak mi się ten utwór podobał?

— Jak mi się podobał—odrzekłem—dziwne pytanie! Czyż pan nie znasz tego utworu dzielnego, który brzmi jak brzęk stali, a oddycha krwią i pożogą. Cenię wysoko i bardzo wysoko Bogdana Zaleskiego, upajam się Mickiewiczem, ale w *Zamku Kaniowskim* przenosi mnie poeta w ową straszną chwilę *koliszczyzny*, i w całéj prawdzie odsłania ten pełen grozy dramat. Ileż tam wzniosłych myśli i obrazów, a poczerpniętych z natury, świéżych jak kwiat wiosenny, a wzniosłych jak dęby wiekowe, z wybujałym wierzchołkiem w niebiosy, z których na jeden co królował puszczy wdarłszy się *Nebaba*, patrzy na świat Boży, w zadumaniu cichém i głębokiém:

„Po jego myślach młody wiek przegania,
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła!
Gdy dusza grała ogniami jutrzenki,
A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W koléj, nadziei uchylała wdzięki.
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło!
Jak dzień skąpany w jeziorze rodzinnym,
Cicho, ponętnie, w marzeniach świeciło,
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole:
Życie, koń wrzący, świat, kwieciste pole!
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole,
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym! . . .“

Deklamowałem z zapałem i głośno te ustępy, których uczyliśmy się na pamięć, a które mnie zachwycały. Widać, że donośna deklamacya moja odbiła się w bufecie, bo trzy małe kawiareczki roztworzyły drzwi i przysłuchiwały się uważnie i z niemałém zajęciem. Dostrzegł to mój nieznajomy, wyciągnął do mnie rękę, a ściskając serdecznie dłoń moją wyrzekł z radością na twarzy:—To ja jestem Goszczyński.

To było pierwsze spotkanie się moje i poznanie z tym poetą.

Za jego pośrednictwem poznałem się z *Ludwikiem Nabielakiem* jego przyjacielem, właśnie on pracował nad rozprawą p. n. *Zabytki starożytnéj poezyi słowiańskiéj*, wraz z tłumaczeniem *Rękopisu królodworskiego*, który odkrył w roku 1817 Wacław Hanka, i pozyskał tém ogromny rozgłos w całym świecie uczonym.

Uderzającą była postać pana Ludwika: wzrost wyniosły, krzepko zbudowany; rysy twarzy pociągłe i regularne, oko wydatne, głos donośny, silnie basowy; oblicze czerstwe, ruchy udatne: wszystko stanowiło w nim wielce urodnego mężczyznę. Był to wedle ludowego a dosadnego wyrażenia „tęgi chłop!“ my dodamy i piękny chłop.

Czytał mi swój wstęp jaki już przygotował do pomienionéj rozprawy, w któréj na czele stawiał sobie pytanie, co jest poezyą narodową, w każdym narodzie, a zwróciwszy główną myśl do rodzinnéj poezyi odpowiadał na nie w tych słowach:

„Trzy są, mojém zdaniem, źródła do czerpania czystych pojęć o narodowości, a użytkując z takowych w wykonywającéj sztuce, do tworzenia dzieł prawdziwie narodowych. Piérwsze, już nam znajome i z pomyślnym używane skutkiem stanowią *podania i pieśni gminne*. Źródło to, pomimo obfitości swojéj, nie jest jednak samo przez się dostateczne, i jak pewną jedynie liczbę wyobrażeń narodowych dostarcza, tak pomaga tylko szczególnie jednéj części poezyi, *gminną* zwanéj, która oddzielnie uprawiana, szczupłą tylko cząstkę literatury narodowéj stanowi. Drugiém źródłem do przyswojenia sobie cechy narodowéj w dążeniu poetyczném, jest *badanie ducha narodu z jego dziejów przeszłych i położenia obecnego*. Jest ono niezbędne do wszelkich większego rodzaju utworów, szczególnie dramatycznych, gdzie wprawdzie człowiek z swemi namiętnościami zawsze ten sam pozostaje, ale jednak usposobienie czasowe i charakter narodowy, co do panującego ducha i dążności w każdym wieku, oddzielnym go od ludzi innych wieków i narodów czyni. Trzeciém nakoniec źródłem, mniéj może jeszcze od poprzedzającego używaném, są *starożytne zabytki poetyczne rozmaitych pokoleń słowiańskich*.“

Następnie wspomniawszy o *Rękopiśmie królodworskim, o pieśni i wyprawie Igora*, i bohatérskich *Rapsodach serbskich*, mówi o przekładzie swoim piérwszego zabytku.

„Przedstawiając te zabytki starożytnéj poezyi słowiańskiéj, nie chciałbym, aby się do nich z takiém zbliżano nastrojeniem, z jakiém się zwykle do czytania czegoś, przyjętym smakiem nacechowanego, przystępuje. Tu, trzeba przenieść się myślą w odległe czasy, a nadewszystko nie spuszczać z pamięci: iż nie piękności i myśli naszego wieku w nich szukamy, ale znamion, któreby nam przyrodzony narodu charakter, jego ducha i pierwotną dążność wskazywały. Kiedy bowiem w powstającém młodzieńczém uczuciu naród wydał pierwszą pieśń z natchnionego łona: w takowéj pieśni musiał się cały jego charakter odbić, cała dusza objawić, bo duch jego, nie więziony przyjętemi formy ani przykładem, w sprzeczną drogę wiedziony, swobodny i najwłaściwszy swemu charakterowi mógł przyjąć kierunek. Nie małym to wprawdzie przedziałem czasu odgrodzone są te zabytki od naszego wieku, ale choćby i najobszerniéj rozrodził się naród, choćby jak najdaléj odsunął się od swego źródła, nigdy jednak pierwotnych cech zupełnie w sobie zatrzéć nie zdoła. Naszą jest tylko rzeczą, rozpatrywać się w jego duchu, śledzić kierunek dążności, a do pierwotnych barw i zarysów, dodawać te, któreśmy na czasie i sprzyjających nam okolicznościach zdobyli.“

Piérwszym był u nas Nabielak, który zabrał się do tłumaczenia *Rękopismu królodworskiego*. I. B. Rakowiecki wcześniej w ogólnych zarysach poznajomił nas w swéj *Prawdzie Ruskiéj* (Warszawa, 1820 roku. Tom I) z tym drogocennym zabytkiem i dał małe i drobne ustępy, o ile mu do badań jego były potrzebne, ale które żadnego wyobrażenia dać nie mogły o wartości poetycznéj: teraz z zapałem młodzieńczym zabrał się do téj pracy Nabielak, z poczuciem całéj wartości natchnienia i podniosłości ducha, w jakich te utwory wyszły z piersi nieznanych wieszczów czeskich. Znając dobrze ich język, w wiernym i dosłownym przekładzie wykończył dwa większe rapsody: *Jarosław*, i *Zaboj Sławoj a Ludiek*. Czy wykończył zamierzoną

pracę, nie wiem, bo po dwóch latach znajomości już go więcéj nie widziałem [1]).

Tu poznałem młodego Ignacego Dobrzyńskiego, który w równym wieku ze mną już okazywał znakomity talent. Odznaczał się on urodą, pomiędzy liczném gronem młodzieży. Nie tak atletycznéj budowy jak *Nabielak*, średniego wzrostu, miał oblicze piękne i nadzwyczaj sympatyczne, zwiastujące piękną duszę i najszlachetniejsze uczucia, które zachował do zgonu. Oczy czarne, pełne życia, gdy rozmawiał z zapałem, pałały jak brylanty. Wesoły, cały oddany swéj ukochanéj sztuce, w rozmowie żywy i porywający. Przed czterema czy pięciu laty przybył z Wołynia, gdzie się urodził, do Warszawy, pełen najpiękniejszych nadziei i marzeń, że zajaśnieje dorazu talentem. Niestety! znalazł tu niespodziewane przeszkody. Jednym z jego przeciwników, co mu stanął na drodze artystycznego życia żelazną zaporą, był Karol Kurpiński dyrektor opery polskiéj teatru narodowego, człowiek zasług nie małych, który niecierpiał młodych talentów, tym bardziéj takich, coby go przyćmić mogły. Poznawszy w Dobrzyńskim niebezpiecznego współzawodnika, użył całéj swéj powagi i przewagi, ażeby go trzymać w cieniu. Z nieopisaną goryczą skarżył się wielokrotnie Dobrzyński przedemną, na tę niegodną stanowiska Kurpińskiego zawiść, a to wspomnienie przykre do ostatnich chwil swego życia przechował. Za to z wdzięcznością wspominał zawsze Józefa Elsnera, u którego razem z Szopenem brał lekcye teoryi i kompozycyi. W kilka lat późniéj dopiéro zasłynął *Symfonią* przesłaną na konkurs do Wiednia, która jeżeli mu dała chlubny rozgłos w kraju, nie wyjednała przecież odpowiedniego stanowiska zacnemu jéj twórcy.

Do téj kawiarni przychodził najczęściéj *Michał Podczaszyński* założyciel poważnego naukowego organu po upadku

[1]) Rapsody te, o których wspominam, wraz ze wstępem wydrukował w *Haliczaninie*, piśmie zbiorowém, które się u nas ukazało w połowie 1830 r. Wyszło we Lwowie t. r. pod redakcyą Walentego Chłędowskiego we 2-ch tomach. Piérwszy zdobi portret Aleksandra hr. Fredry, drugi I. N. Kamieńskiego. Nabielak rodem z Galicyi i tam wychowany, w organie miejscowym ogłosił swą pracę: zapowiedziany jéj ciąg dalszy już się nie ukazał.

Pamiętnika Warszawskiego, w miesięcznych zeszytach, p. n. *Dziennik Warszawski* w roku 1825. Redagował go w piérwszym roku wspólnie z Maurycem Mochnackim, a w następnym już sam. W nim pomieścił wiele rozpraw wysokiéj wartości, tak oryginalnych, jak tłumaczonych lub streszczonych a dotyczących dziejów i literatury krajowéj. Pomiędzy tymi, zwracała uwagę rzecz o *Rycerzach Jaszczurkowych* w Prusiech, przyczynek do dziejów polskich XV wieku, wyjaśniający nieznane dotąd szczegóły wypadków za panowania Kazimierza Jagiellończyka, według dzieła wydanego po niemiecku przez professora *Voigt'a*. Dzieło to podał w skróceniu, ale uzupełnił go tak ustępami z Długosza jak i wypisami z *metryk koronnych*. Mając zamiar stale zamieszkać we Francyi, zdał własność pisma swego i redakcyę Janowi Kazimierzowi Ordyńcowi, a sam wyjechał do Paryża. Po dwóch latach pobytu zagranicą, przybył do Warszawy i wczasie swego pobytu, codziennie przychodził na kawę do *Brzezińskiéj*. Tu go bliżéj poznałem. Wysokiego wzrostu, smagły, drobnego oblicza, był nadzwyczaj miłym i pociągającym w obejściu. Właśnie rozpoczął już druk *dzieł Krasickiego*, dziesięć tomów w jednym, podług edycyi Franciszka Dmochowskiego, tłumacza *Iljady* a przyjaciela Krasickiego; piękne to i okazałe wydanie wyszło w Paryżu z popiersiem autora w stalorycie, w roku 1830.

W czasie bytności Podczaszyńskiego w naszém mieście, zaczął odwiedzać tę kawiarnię *Maurycy Mochnacki*, *Konstanty Gaszyński*, *Leon Zienkowicz*, dwaj ostatni redaktorzy *Pamiętnika dla płci pięknéj*; *Dominik Magnuszewski*, a z nim jego przyjaciel *Fryderyk Szopen*, który wybiérał się w podróż za granicę.

O każdym z nich wspomnę tu oddzielnie.

M. Mochnacki niskiego wzrostu, głowy większéj niż wzrost wymagał, rysów twarzy pociągłych, i nosa orlego, nie wzbudzał w mniéj go znających sympatyi. Oblicze całe przez brodę zadartą i nos spuszczony, przypominało postać Judasza, jaką widzimy w słynnym obrazie *Leonardo da Vinci*: Wieczerzy Pańskiéj.—Zyskał sobie niemały rozgłos jako współredaktor *Dziennika Warszawskiego*, z wystąpień w tém piśmie przeciw najwyższéj powadze naukowéj w osobie Jana Śniadeckiego, z krytyk na *Rocz-*

niki Towarzystwa przyjaciół nauk, i z rozpraw w *Gazecie Polskiéj*, o poezyi i poetach tak zwanych romantycznych. Jeżeli młodzież dzieliła jego zdanie i przyklaskiwała mu za te prace nacechowane śmiałością i wyższym poglądem, jeżeli miała wdzięczność za wydobycie z cienia zapomnienia *Maryi* Antoniego Malczeskiego, i postawienia jéj na należném stanowisku: ogromnie się nań oburzała, za zuchwałą krytykę *Walenroda* Mickiewicza, w któréj wykazywał niestosowność całego romansu między *Konradem i Aldoną*. Pamiętam dobrze, jak zwolennicy Mickiewicza, z gniewem i uniesieniem sarkali na krytyka za to na kawie u Brzezińskiéj, i długo się uspokoić jeszcze nie mogli, bo autor *Dziadów*, powinien być nietykalny ostrzem pióra recenzenta.

Poważniejsi przecież, chociaż gorący wielbiciele wielkiego poety, zgadzali się pocichu z Mochnackim, ale głośno tego wypowiadać nie śmieli.

Przygotowywał on wtenczas dzieło „*O literaturze polskiéj w XIX wieku*“ i artykuły te z Gazety Polskiéj wcielał do niego i stosował do całości; równocześnie zaś pracował przy *Izydzie* dzienniku technologicznym, pod główną redakcyą *Antoniego Lelowskiego*, tłumacząc i przerabiając potrzebne artykuły, za co otrzymywał odpowiedne honoraryum.

Dzieło pomienione wydał w drugiéj połowie 1830 roku w Warszawie w drukarni J. Węckiego (w 8-ce str. 222). W niém już chłodniéj ocenia walkę klassyków z romantykami, i oddaje należny hołd zasługom Kazimierza Brodzińskiego, powtarzając słowa Michała Grabowskiego wyrzeczone o śpiewaku *Wiesława*, że: „on pierwszy zrobił w literaturze polskiéj krok stanowczy, krok olbrzymi: bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury.“

Wynosząc grono młodych poetów, z uznaniem mówi, a nawet z zapałem o J. U. Niemcewiczu i Janie Woroniczu.

Młodzież lubo czytała z upodobaniem, jak wspomnieliśmy wszystko co wyszło z pod jego pióra, nie sympatyzowała z nim jednakże. Ścisłe tylko stosunki przyjaźni łączyły go z Bronikowskim, Podczaszyńskim, Żukowskim i wielu nie literatami, zbliżony był nadto więcéj do Joachima Lelewela, zdala się zaś

sam trzymał od całego towarzystwa, jakie zbiérało się na kawie pod *Kopciuszkiem* czy *Suchym lesie.*

Gaszyński, w kwiecie wieku, blondyn, twarzy okrągłéj, oczu niebieskich; rumiany, pełen żywości w ruchach, lubiony był powszechnie: znajdował uprzejme przyjęcie czy to w zebraniach starych klassyków, czy najżarliwszych romantyków. Towarzysz jego *Zienkowicz Leon*, brunet, niższego nieco wzrostu, był więcéj poważny i w całéj postawie powolny. Obaj z początkiem 1830 roku zaczęli wydawać *Pamiętnik dla płci pięknéj*, w zeszytach czteroarkuszowych w małéj 8-ce, dwa razy na miesiąc, co piérwszego i piętnastego. Trzecią część jeżeli nie połowę każdego zeszytu, stanowiły na czele pomieszczone poezye. Pomiędzy temi, najwybitniéj odznacza się przeważna strona *Sonetów.* Trzy lata minęło kiedy w ozdobném wydaniu wyszły *Sonety* Mickiewicza w Moskwie (w drukarni Uniwersytetu 1826 r.) wraz z przekładem jednego na język perski. Gorączka *sonetomanii*, przeszła w literacką epidemię: jak za balladami wielkiego poety sypały się ich setki z pod piór naśladowców, tak teraz rej jeszcze wiodły *sonety.* Zaraz w roku następnym po ukazaniu się piérwotnego wydania w Moskwie, we Lwowie przedrukowano sonety Mickiewicza „*z Nutami kompozycyi Karola Lipińskiego.*“ (1827 r. w 18-ce).

Z pomiędzy pierwszych naśladowców odznaczył się *Jan Nepomucen Kamiński*, niepospolitego talentu poeta i pisarz, dyrektor teatru Lwowskiego, który tom ich cały wydał. Wiele pomiędzy niemi było tak przesadzonych, tak koszlawo myśl nawet zdrową oddających, że serdeczny śmiech tylko wywołały. Zbiór tych nieszczęśliwych *sonetów* w liczbie aż 61 ukazał się w rok po Mickiewiczowskich [1]). Na poparcie naszego zdania, tylko tu dwa z tych utworów smutnych przywiodę.

---

[1]) „Sonety J. N. Kamińskiego (z godłem):

Muszki chwilowe, żyją krótką chwilę;
Dzień jeden lotu: pozwolicież tyle?

We Lwowie. Wyciśnięto u Piotra Pillera 1827. (W 12-ce str. 70). Autor przypisał je księciu Augustowi Długoszowi Lobkowiczowi gubernatorowi królestw Galicyi i Lodomeryi. Z tego dowiadujemy się, że ten książe jest potomkiem *Popiela* co go myszy zjadły.

XV.

Ach! myśli moje, korab w oceanie!
Tłuką go fale, utracił kotwicę!
Ciskany burzą, żaglem gwiazd dostanie,
I piersią pruje przepastne ciemnice!
Zawsze i zawsze w nieustannéj zmianie,
W niebie nadziei i zapomnień rzece!
Kiedy się strzaska, czegóż się uchwycę?
Wieloryb śmierci połknie nadspodzianie!
Mając te chyże pomyślenia żagle,
Te mocne liny z pojęcia jedwabiu,
Jak próżne bańki w nicość pękać nagle,
Żadnego wprzyszłość nie *przemycać* szczętu?
Czyliż przeczucie, ta igła korabiu,
Nie jest wykutą z prawdy dyamentu?

XXI.

Wypiłem duszą, duszę kałamarza,
Już pióro znaków, oko łez nie roni:
Mój ogród spłowiał, w lasku pieśń nie dzwoni,
Widzicie we mnie pustek gospodarza!
Idę do grobów na pole smętarza,
Ach! i tam pycha próżne bańki goni!
Pawie na czele, krety na ustroni,
Jedni, jak drudzy, pod rydlem grabarza!
Jednych i drugich, robak jeden kąsa,
Jeden się robak ich dziedzictwem tuczy,
Śmierć wszystkich kości w jednym worze wstrząsa,
Przecież wiatr pychy i po grobach huczy!
Kiedyż się głupstwo człowieka wydąsa?
Czyliż śmierć straszna, rozumu nie uczy?

Hołd téj formie pokazanéj przez twórcę *Dziadów*, widzimy hojnie oddany w *Pamiętniku dla płci pięknéj*; każdy z młodych poetów i wierszopisarzy, musiał choć z tuzin ich napisać, nawet z rodziny *Koźmianów*, znanych zwolenników klassyczności, S. E. Koźmian napisał jeden sonet. Brodziński tylko w téj formie nie objawiał swych myśli, bo uważał ją za jarzmo niewolnicze, gniotące jéj polot swobodny, a gdy mu stawiono za przy-

kład Mickiewicza odpowiadał skromnie ludowém przysłowiem „*Co wolno orłowi, to zasie wróblowi.*“

Dział poezyi w tak obszernych rozmiarach prowadzony w tém piśmie, liczył grono nie małe współpracowników. Na czele ich, głównie co do obfitości stoi sam redaktor *Gaszyński*, po nim *Konstanty Danielewicz* przyjaciel Zygmunta Krasińskiego i nieodstępny towarzysz jego podróży za granicą: *Franciszek Kowalski* tłumacz Moliera, wówczas bawiący w Warszawie, gdy skończył guwernerkę przy Auguście Cieszkowskim; *Jachowicz Stanisław*, *Leonard Rettel*, *Leon Ulrych* i *Leon Zienkowicz* współredaktor. Ci ostatni byli to przyjaciele i towarzysze Gaszyńskiego. Do rzędu ich należał *Rajnold Suchodolski*, znakomity rysownik a następnie pieśniarz, który w kwiecie wieku, w samym rozwoju poetycznego talentu zakończył życie. Z jego utworów najwięcéj się podobał i zwrócił na młodego poetę uwagę, mały utwór: „*Skon wodza Kleftów*“ pieśń nowo-grecka.

Moi wierni towarzysze,
I młodości i méj broni,
Śmierć już czuję, zdala słyszę,
Jak niszczącą kosą dzwoni.
Weźcie miecz mój doświadczony,
Którym jeszcze wrogom grożę,
I ścinajcie gaj zielony,
I z gałązek ścielcie łoże.
Na nim skończę me nadzieje,
I w dłoń świętą spowiednika
Nieugięty duch przeleję,
I ostatnią myśl grzesznika.
Na granicy naszéj ziemi,
Pochowajcie mnie w żałobie,
Żebym walczyć z wrogi memi,
Nie zapomniał w zimnym grobie.
Tylko zróbcie go wysokim,
Żebym stojąc mógł zabijać:
Tylko zróbcie go szerokim,
Żebym mieczem mógł wywijać.
A gdy najdą góry nasze,
Obce ludy, obce konie,
Trupim wzrokiem ich odstraszę,
Błyskiem miecza was obronię.

Suchodolski odznaczał się pomiędzy towarzyszami swymi, zarówno wzrostem jak obliczem. Wysoki, smagły, miał twarz pociągłą, nos wydatny i oczy: wszystko zaś składało się na postać dorodnego mężczyzny.

Dział ten zasilał niemało Brodziński, przekładem pieśni czeskich i serbskich. Wogóle jednakże nic w nich nie było takiego, coby podziw, albo poklask wywołało. Trochę ballad, trochę w rodzaju pieśni ludowych; przekłady z Walter-Skota, z Tomasza Moora, z Szyllera, z Petrarki, jak tłumaczenie ze słowiańskich pieśni a głównie naśladownictwo Mickiewicza, J. B. Zaleskiego i S. Goszczyńskiego, stanowiło ich wątek.

Z prozy oprócz udatnych wspomnień Stanisława Trembeckiego i Franciszka Karpińskiego, są drobniejszych rozmiarów zajmujące artykuły: obszerne zaś miejsce zajmują *Nowiny i Wiadomości naukowe*, w których redakcya podawała krótkie sprawozdania o wyszłych z pod prassy nowych dziełach, z popularniejszych przytaczając nawet większe ustępy.

Pismo to, lekkie, poczytne, wybornie odpowiadające swemu tytułowi, znalazło dobre przyjęcie, tém więcéj, że zeszytowych czasopismów mieliśmy mało: był tylko ciężki *Pamiętnik Lacha Szyrmy*, cel pocisków zjadliwych Maurycego Mochnackiego.

Zapijając czarną kawę czytałem gazetę, gdy drzwi się z trzaskiem otwarły i weszło czterech. Na czele, żywo wbiegł Gaszyński, za nim poważnie Zienkowicz, i dwaj młodzieńcy nieznani mi wcale. Zbliżywszy się do bufetu, z najgrzeczniejszym ukłonem, z pewną przesadą wydeklamował:

— Piękna Maryniu! bóstwo serc naszych, cztery porcyjki czarnéj kawy!

A zbliżywszy się do mnie, i podając rękę:

— Jak się macie? co czytacie? No! *Leona* znacie, mówił wskazując na Zienkowicza, a to *Dominik Magnuszewski* autor *Starego kawalera*, którego widziałeś na *małym teatrze:* a to *Fryderyk Szopen* nasz grajek: kochany Frydruś!

I zanim zdążyłem podać mu rękę, Gaszyński go pierwéj wyściskał i ucałował.

Spojrzałem na nieznajomych mi dotąd. Szopen, pociągłéj twarzy, rysów wydatnych, był niższy od Magnuszewskiego, który szczupły i wątły, drobnych rysów i okrągłéj twarzy,

stał w przeciwieństwie ze swym przyjacielem. Szopen miał płaszcz szaraczkowy na sobie, Magnuszewski bronzowy, z kilkoma pelerynami, które się zapinały na haftki. Właśnie mu się odpięło ich kilka i peleryny odczepiły od kołnierza, wstałem więc i wróciłem wszystko do porządku, za co mi serdecznie dłoń uścisnął. To było piérwsze nasze poznanie i początek serdecznéj przyjaźni.

Odtąd zacząłem bywać w domu dziada Magnuszewskiego, Dominika Borakowskiego b. Sędziego Najwyższéj Instancyi: w kronice miasta Warszawy zajmuje on nie jedno wspomnienie w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta.

Tutaj zbliżyłem się więcéj do Szopena, przychodził bowiem często pod wieczór do *pana Sędziego*, a głównie do Magnuszewskiego, którego kochał, i dla jego zadowolenia i dwóch siostr jego, grywał nieraz na fortepianie. Ale zastrzegał sobie ażeby świec nie wnoszono do sali. W pomroku przeto wieczornym najradziéj improwizował z różnych tematów. Melodye Szopena do *Sielskich pieśni*, Stefana Witwickiego już były znane powszechnie i rozbiegły się po kraju.

W przed dzień swego wyjazdu, był jeszcze na kawie u Brzezińskiéj, a wieczorem w *Teatrze narodowym* na *Krasińskim placu*, i tu go ostatni raz widziałem.

III.

Ksawery Bronikowski.—Maurycy Mochnacki i Kamil brat jego.—Pałac Teppera na Miodowéj ulicy.—Fergusson Piotr Tepper bankier i Jan Stefani kompozytor muzyczny.—Bankructwo *Teppera.*—*Tabaczkowy surdut.*—L. Żukowski i jego rozprawa: „*O pieśniach ludu.*“ Noworocznik A. E. Odyńca „*Melitele*“—„*Laska proroka*“ legenda Kazimierza Brodzińskiego.—Poezye I. Bohdana Zaleskiego.—„*Fragment.*“ Józefa Korzeniowskiego. Rękopism K. Brodzińskiego z pieśniami ludu.—Andrzéj Kucharski.

Ksawery Bronikowski, który nie dawno wystąpił na pole literatury, jako tłumacz Irwinga „*Przygody człowieka osłabionych nerwów*“ i „*Rozbójników włoskich*,“ był przez lat kilka współpracownikiem *Gazety Polskiéj* (1825—1828 roku) i wtedy go bliżéj poznałem. Następnie gdy nowy organ prassy pow-

stał, objął w nim główną redakcyą. Był to *Kuryer Polski*, w zewnętrznéj formie przypominający dawnego *Kuryera* z okresu *Sasów*, mając na czele jadącego na koniu pocztyliona z trąbką. Pismo to wkrótce wzięło przewagę nad innemi, i był czas że liczyło niesłychaną na ową dobę liczbę prenumeratorów, bo pięć tysięcy z górą.

Zbliżyliśmy się więc z sobą, gdy przepędzając, począwszy od wiosny, całe lato aż do jesieni, w Węgrzech w 1829 i 1830 r. na jego żądanie, w kształcie *listów* spisałem swoje wrażenia z tych podróży i drukowałem w Kuryerze.

Lubiłem Bronikowskiego wielce, bo był to człowiek serdeczny, szczery i zacny. Dobrego wzrostu, miłego oblicza, do razu zjednywał sobie sympatyą. Mieszkał wówczas na *Daniłowiczowskiéj* ulicy, gdzie dziś *Synagoga* żydowska, i zajmował na piérwszém piętrze dwa pokoje. Piérwszy obszerny, stanowił zarazem przedpokój i salon, drugi maleńki z oknem na podwórze był sypialnym i do poufnéj gawędki z bliższymi przyjaciołmi.

W téj małéj komnatce poznałem lepiéj Maurycego Mochnackiego, i zacząłem jako myśliciela więcéj jeszcze cenić niż jako pisarza, którego utwory pióra tak mnie zajmowały. Teraz podziwiałem w nim zajmującą a nieraz porywającą wymowę, szeroką przestrzeń jego poglądów, orle myśli. Gorącém słowem rozszerzał on sferę mojéj wiedzy, i wskazywał nowe, nieznane mi obrazy i drogi, nietylko w rzeczach literackich, ale obok tego, głęboką znajomość spraw krajowych we wszystkich kierunkach. Pomimo jednakże całego uznania, dla jego wyższości, nie mogłem obudzić w sobie dla niego zaufania, jakie miałem dla Bronikowskiego: słuchałem go z wielkiém zajęciem w głębokiém milczeniu, mając potém na dni kilka dosyć osnowy do dumań.

Bywał tu częstym gościem i brat jego Kamil Mochnacki, ale ten był małomówny i często zapadał w zamyślenie.

W pobliżu mieszkania Bronikowskiego wznosi się dom znany dotąd pod nazwą piérwszego właściciela bankiera *Teppera*. Pałac ten w czasach panowania Stanisława Augusta zbudował sobie *Fergusson Piotr Tepper* najsławniejszy bankier tego okresu. Rozgłos jaki sobie potrafił zjednać i zaufanie nieograniczone, z niczem się już porównać nie dadzą. Wybudował ten pałac z frontem głównym od *Miodowéj* ulicy, ale przechodzącym

do ulicy *Daniłowiczowskiéj* oficynami swymi i wielkiemi podwórzami. Jeden z dowcipnych ludzi ówczesnych, zrobił bardzo trafną uwagę, że gmach ten bez smaku artystycznego zbudowany, ma kształt wielkiéj skrzyni kassowéj: jakoż spojrzawszy nań z dala, potwierdzić i dziś musimy to zdanie. Nie tylko magnaci polscy i szlachta, ale każdy co uciułał sobie pracą czy oszczędnością mały kapitalik, niósł z radością do Teppera, i był nadzwyczaj szczęśliwym jeżeli go przyjąć raczył. Zbytek i hojność jego, powiększały coraz ustalone w nim zaufanie. Rozpowiadano sobie z podziwem, że żona jego bieliznę swoją do prania posyłała umyślnemi posłańcami do Paryża, bo w Polsce prać jéj nie umieją. Będąc właścicielem dóbr *Falent* pod Warszawą, zaprosił na swoje imieniny króla wraz z całym dworem. Przyjmował go, jak sam wyrażał *po wiejsku*, ale stół był zastawiony po królewsku. Na tę uroczystość sprawił nowe srebro stołowe, wyrabiane w same *kłosy*, żeby obchód ten miał więcéj charakter sielanki. Było to w roku 1786, a w rok późniéj wyrobił przywiléj sobie na wybudowanie nowego kościoła ewangelickiego w Warszawie, który jest ozdobą tego miasta.

Twórcy muzyki do opery Wojciecha Bogusławskiego: *Krakowiacy i Górale*, *Janowi Stefaniemu*, polecił napisanie dwunastu polonezów, które na sutych wieczorach u niego grane być miały. Gdy Stefani ze swymi kompozycyami przybył do Teppera, ten wprowadził go do swego skarbcu, i z jednéj skrzyni napełnionéj złotem, wziął obie garście dukatów, i takowe wsypał mu do kapelusza. Przypadkiem czy umyślnie kilka sztuk upadło na posadzkę; Stefani chciał się po nie schylić, lecz Tepper wstrzymał go za ramię mówiąc: „Zostaw to dla biédnych.“ A zanurzywszy powtórnie rękę w błyszczącym kruszcu, wydobył jednę jeszcze garść dukatów i sypiąc je do kapelusza, wyrzekł te słowa do Stefaniego: „Nie żałuj mnie, ja nie zbankrutuję.“ Zdarzenie to szeroki miało rozgłos po całym kraju, i każdy wierzył tym słowom bankiera, jakby proroczym. A przecież nie upłynęło lat dziesięciu, gdy zbankrutował najhaniebniéj, a z upadkiem swoim zgubił tysiące polskich rodzin. Straty jakie ponieśli wynosiły na owe czasy ogromną summę do 18,000,000 zł. pol. ówczesnych. W *Archiwum Głównem* Królestwa jako

smutna pamiątka po Tepperze pozostały ogromne księgi rachunkowe, oprawiane w Londynie i strunami szyte!

Pałac ten sprzedany miał kilku właścicieli; znałem bogatego obywatela Zaleskiego, który go kupił: dziś jest własnością Jana Grabowskiego. W nim-to, wchodząc głównemi wschodami, na piérwszym ich zakręcie są drzwi małe i wejście do pokojów w oficynie: tu była kawiarnia, która miała swoją techniczną nazwę: „*Dziurka*."

Bronikowski z powodu bliskości swego mieszkania upodobał ją sobie i wraz z przyjaciółmi swemi zaczął w poobiednich godzinach nawiedzać: za jego przykładem schodzili się do niéj dwaj bracia Mochnaccy, Józef Bohdan Zaleski, Ludwik Żukowski, Goszczyński, Nabielak, Maurycy Gosławski, Andrzéj Kucharski niedawno powróciwszy z uczonéj podróży po Słowiańszczyznie, i kilku młodzieży, związanych stosunkami przyjaźni czy zażyłości z wymienionymi.

Pomiędzy tymi ostatnimi odznaczał się jeden, nieznany z nazwiska, a któregośmy przezwali *tabaczkowym surdutem* dla tego, że w téj barwie surdut nosił. Średniego wzrostu, krępy, szerokich ramion, miał odrażające oblicze. Przy dużéj głowie, z czarnym zarostem policzki były zapadłe, trupiéj bladości, zeszpecone nie dziobami, ale szramami szerokiemi i wypukłemi, z pośród których jaśniały błyszczące czarne oczy. Co wrzało w jego szerokiéj piersi nie wiem, ale mogłem miarkować, że w niéj się burzy jakieś uczucie, patrząc na te oczy, coraz jakby matowe, niby za mgłą słabo przeglądały, nagle paliły się jak rozżarzone głownie i błyszczały płomiennie. Nie był rozmownym, ale kiedy zaczął mówić i zapalał się więcéj, głos jego nabierał dźwięku metalicznego, bardzo wdzięcznego dla ucha. Z mowy jego widoczna rzecz, że miał wysokie wykształcenie, sąd zdrowy o rzeczach, w pojęciach o literaturze, lubo stał stanowczo po romantyków stronie, z zapałem unosił się nad pięknością poezyi i prozy starożytnéj *Hellady*, a znał to wszystko gruntownie. O Mickiewiczu mówił jakby o dobrze znajomym sobie, A. E. Odyńcowi przepowiadał świetną przyszłość na polu poezyi, o *Tomaszu Zanie* wyrażał, że to człowiek, przed którym warto głowy pochylić: obok tego wspominał wiele szczegółów z życia Stanisława Kostki Potockiego, J. U. Niemcewicza, a były tego

rodzaju, że tylko wtajemniczonemu w tajniki pałacowe, mogły być wiadome. Bronikowski z nim często rozmawiał, ale gdym go zapytał kto jest? odpowiedział mi na to:

— Znam go od lat kilku, nie wiem prawdziwego jego nazwiska, lubo znam wiele dramatycznych scen z jego życia; ale to głowacz we wszystkich przedmiotach: mówi rozumnie i gruntownie.

Wiele lat mógł wtedy liczyć, trudno powiedzieć. Na tém chropawém obliczu, gdy się zamyślił, a często wpadał w zadumę głęboką, wybijało lat 40 i 50. Czasem ból jakiś wewnętrzny go szarpał, bo zwijał się prawie w kłębek na chwilę, krzywił ustami: wtedy starość blizka zgrzybiałości osiadała mu na twarzy.

Ile razy po drugiéj godzinie po obiedzie przychodziłem do téj kawiarni, już go znajdowałem siedzącego w ulubionym kąciku, blizko okna i ćmiącego fajkę z długiego pieprzowego cybucha z piórkiem: czytywał gazety i dzienniki, a potém dumał.

Gdy wchodził Bronikowski, zawsze wstawał i podawał mu rękę na znak powitania, czego dla innych nie robił, i teraz razem oczekiwali na gromadkę zwyczajnych gości. Zwykle Żukowski najpierwéj się pojawiał. Średniego wzrostu, twarzy pociągłéj, szatyn, miał cerę lica blado żółtawą, chorobliwą. W *Mehteli* Noworoczniku A. E. Odyńca na rok 1830, dał: „*Wyjątek z pisma o pieśniach ludu.*“ Rozprawka to słaba, i pokazująca, że patrzył się na te zabytki powierzchownie, a znał je tylko ze stron rodzinnych.

Dwadzieścia lat z górą już ubiegło, kiedy *Zoryan Dołęga Chodakowski*, rozprawę swoją genialną: „*O Słowiańszczyznie przed chrześcijaństwem*“ wydrukował. Poruszyła ona zarówno umysły pracującéj młodzieży, jak następnie piérwsze pojawienie się Mickiewicza. Od niéj-to zwrócono się do badań etnograficznych nad ludem naszym, i Żukowski pracą swoją był słabym odzewem zwrotu w tym kierunku. Ale rzecz pozornie biorąc, nie zgłębiwszy jéj bynajmniéj, ogólnikami ją tylko zagaił; nie patrzył on w lud blizko, nie dzielił jego zabaw i obrzędów nie czuł jego sercem, ani śledził polotu poetycznego myśli, w jego pieśniach, melodyi i powieściach.

Pomimo tych usterków rozprawa Żukowskiego już dała mu miejsce, poczesne pomiędzy literatami ówczesnymi. Wszedł on do kawiarni trzymając w ręku Noworocznik *Melitele*, tylko co wyszły z pod prassy drukarskiéj, ozdobiony popiersiem *Jana Pawła Woronicza*, a ukazując Bronikowskiemu wyrzekł:

— Panie Ksawery! wartoby o tém szeroko napisać w Kuryerze: śliczne bo są tu rzeczy.

Redaktor Kuryera skłonił głową na znak potwierdzenia jego zdania, gdy odezwał się *tabaczkowy surdut*:

— Uściskałbym tego chuchraka Odyńca, żebym go znał, za jego *Melitele*, ale on po żadnych kawiarniach nie chodzi. Tak wyborowych co do treści noworoczników nie znam w żadnéj literaturze zagranicznéj. Prawda, że są ozdobniejsze co do wydawnictwa tak pod względem druku, papieru jak rycin: ale co do pokarmu dla ducha jakże ubogie! Ale my po staremu, cudze łachmany bierzemy za piękny *bisior*, a na własne atłasy i aksamity patrzymy jak na kuchenne ścierki. Żeby w Paryżu albo Londynie takie bogactwo doborowych artykułów zgromadzono, jakie daje Odyniec w swojéj *Melitele*, a jeszcze to przypstrzyli rycinami, okazałym drukiem i piękną oprawą, setki tysięcy rozbiegłyby się po Europie i ludzie rozdziawialiby gęby: u nas tysiąc egzemplarzy, nie wiem czy się rozejdzie.

— Przeszłoroczne wydanie—odrzekłem—już prawie całkiem jest wyczerpane.

Tabaczkowy surdut spojrzał na mnie, wykrzywił się brzydko, jakby się gniewał, żem mu oponował, i po chwili coraz z rosnącym zapałem mówił daléj:

— I w przeszłorocznem i tegorocznem są przecudne rzeczy, a jednak jakże mało o nich mówią, jak się nie umieją rozkoszować tymi kwiatami poezyi! Znacież tę cudną *Legendę* Brodzińskiego: *Laska proroka*? I zaczął ją deklamować:

„Nieszczęsna Sunamitka ze łzami zaklina
Proroka Elizeę, by wskrzesił jéj syna;
Lecz prorok pójść rozkazał słudze Gehazemu
Mówiąc: „Opasz twe biodra i pójdź do Sunemu,
„Dotknij ciała tą laską, a jeśliś szczęśliwy,
„Jeśli czujesz i wierzysz, syn jéj wstanie żywy.“

Wnet Gehazy z radością w drogę się wyprawił,
Bo dawno pragnął, aby cudami się wsławił.
I gdy mu lud zabiega i ciekawie bada,
„Zmarłego idę wskrzeszać“ dumnie odpowiada.

Więc z miast i włości za nim lud ciśnie się w tłoku,
Wołając: „będziem widzieć cud w nowym proroku.“
Nowy prorok w tryumfie do Sunemu dąży,
A ujrzawszy zmarłego, wkoło go okrąży:
Z powagą kładzie laskę na umarłe ciało.
Ale dziecię ni głosu, ni tchu nie wydało;
Daléj przytyka laskę ku ustom, ku czołu,
Odwraca w lewo, w prawo, od wierzchu, od dołu:
Dziecię zimne i martwe, i tak zamiast cudu,
Stanął zawstydzon wpośród szydzącego ludu.

Wkrótce prorok Elizej przybył do Sunemu,
I zmiejsca odejść kazał ludowi wszystkiemu,
I modlił się zamknięty. Wziął dziecię na dłonie
I w gorącém objęciu tulił przy swém łonie;
Usta do ust i piersi do piersi przyłożył,
I póty tchem swym krzepił, aż w zmarłym duch ożył.

Niczem sama chęć chwały, nauki i wzory,
Gdzie wewnątrz niema czucia i ducha pokory:
Bez nich wiary, ni cnoty, ni sztuki nie będzie.
Napróżno z dłoni mistrza odbierasz narzędzie,
Byś jak on cuda działał; jeśli ogniem świętym,
Jako on, z woli nieba nie jesteś natchniętym!“

Kiedy deklamował, niesłychana zmiana nastąpiła w jego szkaradném obliczu. Głos z początku tłumiony, nabierał coraz więcéj siły i dźwięku, a niekiedy takiéj rzewności, że do głębi wzruszał. Patrzałem nań z podziwieniem: twarz trupiéj bladości zaczęła się rumienić, a przy swém rozbarwieniu, zniknęły szramy wypukłe, i zdawały się gładkiemi jak zwierciadło. Przy ustach zasiadał wdzięk nie znany, a oczy jaśniały jak dwie gwiazdy, raz promieniejące przymgloném światłem, to znowu iskrzące się jak połyski płomienia.

Mówiono mi że *tabaczkowy surdut* był nadzwyczaj lubiony przez kobiéty, wskazywano mi nawet zawołane piękności, które się w nim szalenie kochały. Nigdym temu nie chciał wierzyć: teraz dopiéro zrozumiałem i uwierzyłem, że słysząc go mówią-

cego, szczególniéj téż deklamującego, można się było w nim rozkochać

Żukowski równie ze mną był zachwycony, Bronikowski po chwili wyrzekł:

— Cudne są to rzeczy! Ileż prawdy w téj legendzie i nauki!

Nagle *tabaczkowy surdut*, widząc moje zachwycenie, zwrócił się do mnie i uprzejmiéj przemówił.

— Wy mówicie że *Melitele* z przeszłego roku już rozkupiono: to dobrze; a wiecie dlaczego? Bo tam się piérwszy raz pojawił *Furys* Mickiewicza. i jego *Czaty*; bo tam Bohdana fantazya *Rusałki*, bo tam Odyńca ballada *Wesele*: jakież to poezye! Wszyscy nauczyli się ich na pamięć: o *Legendzie* Brodzińskiego nikt nie wspomniał! Mam jednak z wydawcą na pieńku, wydrukował piękną rzecz: „*Mierzb z domu Bończa rytm Aleksandra Grabi z Wzcieklic*“ i pragnąc go przemycić jako osobliwy zabytek dawnéj poezyi polskiéj, w przypisku objaśnia, że wydobył go z prywatnego rękopismu, gockim charakterem pisanego! Wielu prostaczków temu wierzyło, a przecież wiadomo, że jest to utwór Aleksandra Fredry, który dał nam niedawno małe arcydzieło w dramacie drobnym: „*Obrona Olsztyna.*“ Ale redaktorowi Meliteli daruję tak niewinny podstęp, kto z was zna go bliżéj, niech mu w mojém imieniu za te noworoczniki podziękuje serdecznie. Znam i ten noworocznik, co trzymacie go w ręku (mówił do Żukowskiego) a kilka dni temu wyszedł: tu króluje po Mickiewiczu nasz ukochany *Bohdan.* Co to za perły poezyi: „*Co mi tam;*“ poranek starego myśliwca: „*Śpiewające Jezioro.*“ „*Czajki*“ i ten przepyszny: „*Trzeci szturm do Sławiszcz.*“ Czytasz i serce drży i krew ci bije żywiéj! To mi poeta, daj mu Boże zdrowie!

Bronikowski na ostatnie słowa, uścisnął rękę *tabaczkowego surduta*, my potwierdziliśmy to zdanie, gdy on zapytał Żukowskiego, wskazując na książkę, którą trzymał wręku:

— A czytałeś Józefa Korzeniowskiego *Fragment?*

— Czytałem — odrzekł — przepyszny utwór!

— Mało powiedzieliście, to zapowiada jeden z najpotężniejszych talentów w literaturze naszéj. Co to za jeden?

— Uczeń Krzemienieckich szkół — odpowiedziałem — rodem z Galicyi, następnie guwerner Zygmunta Krasińskiego.

— Nie pamiętam—mówił daléj—dawno tak głębokiego wrażenia, jakiegom doznał czytając ten *fragment.*

— Może ci co przypomniał z przygód własnego życia—dorzucił jakby od niechcenia Bronikowski—boć to nie tajemnica, żeś mój dobrodzieju miał szczęście do płci pięknéj i niejednéj obałamucił główkę, a grzeszków może się znajdzie nie mała gromadka na sumieniu.

Na pierwsze słowa, *tabaczkowy surdut* zerwał się z krzesła, zbladł jeszcze więcéj jak zwykle; oczy zapłonęły jak pochodnie: jednak po chwili to gwałtowne wzruszenie przeminęło, usiadł napowrót, ale piersiami zaczął robić jakby długim biegiem był zmęczony.

Bronikowski zaczął czytać: *Famiętnik dla płci pięknéj*, ja nie odwracałem oczu od naszego deklamatora.

Po paru minutach wziął z rąk Żukowskiego *Melitele*, i na ostatniéj jéj karcie zatrzymawszy spojrzenie, już spokojnym głosem mówił:

— Patrzcie! to znowu Bohdana: „*Pielgrzym w obcym kraju.*“ Czyż można tę śliczną dumkę czytać bez głębokiego wzruszenia. I zaczął z cicha:

Nigdyż serce stęsknione,
Mar minionych nie prześni!
Wiecznież w jednę gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni?
Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno.
Przez miejsc tyle, chwil tyle . . .
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile
Są bez wrażeń pamiątek.
I to serce, o dziwo!
Tak czujące dziś mało:
Indziéj biło tak żywo,
Tak płomiennie kochało.
Ach! przed mokrą powieką,
Darmo dzień mi tu płonie!
Wzrok, jak pieśni . . daleko,
Wiecznie w jednéj tkwi stronie.

Ku niéj tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę...
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę!

Głos jego lubo cichy gdy czytał, był tak wyraźny, a tak miękki, tak rzewny, tak oddawał malowniczo każdą myśl, każdy zwrot téj dumki, że na nowo nas oczarował. W ostatnich trzech strofkach zdawało się że rozłzawiony, wybuchnie głośnym płaczem; nie, on zamienił się jakby w śpiew słodki niewieści, i wśród téj melodyi szlochał boleścią zranionego serca!

Widziałem, że łzy iskrzące oczy mu zamgliły: zostawił książkę na stole, a sam powstawszy, wyszedł z kawiarni nie żegnając się z nikiem, powolnym krokiem.

Gdy Bronikowski zajęty był czytaniem *Pamiętnika*, Żukowski podając mi *Melitele*, zapytał czym czytał jego rozprawę. Nie znałem jéj wówczas, rad więc byłem poznajomić się z nią bliżéj, i pożyczyłem na dni parę; alem właśnie dnia tego był u professora Brodzińskiego, który podarował mi mały zeszycik pieśni i przysłów ludowych, które spisał dawniéj z pamięci. Wiadomo, że po śmierci jego matki, kobiéty wiejskie zajmowały się jego wychowaniem, usypiając i bawiąc dziecinę pieśnią ludową. Z tego zbiorku szczególniéj jedna uderzyła mnie treścią swoją, a głównie téż formą artystyczną. Dobywszy z kieszeni pomieniony zeszyt, zacząłem tę pieśń najpierwéj mu czytać. Podaję ją tu wiernie, co do słowa z autografu K. Brodzińskiego przepisaną.

„Hej! tam na górze
Stoją rycerze:
Stuk, puk, w okieneczko,
Otwórz, otwórz kochaneczko,
Pięknéj urody,
Daj koniom wody.
— Nie mogę ja wstać,
Koniom wody dać;
Bo mi matka zakazała,
Żebym z wami nie gadała:
Trzeba jéj się bać.
— Matki się nie bój,
Siadaj na koń mój!

— Nie mam trzewiczków,
Zimno w nóżeczki.
— Weź-że chusteczki
I okryj nóżeczki.
Pojedziemy w obce kraje,
Gdzie są inne obyczaje,
Malowany dom.
Malowany dom,
Baszty ze wszech stron,
Mosty, baszty, złote sale,
Wszystko tam jest tak wspaniale
Jak u rycerza.

Przez wieś jechali
Wszyscy patrzali,
Co to za dziewczyna
Co za jedyna,
Z rycerzem jedzie!
Oj! jedzie, jedzie,
Na złotym rzędzie,
Sto par koni za nią,
Jak za jaką panią,
Za tą dziewczyną.
Z wielką paradą,
Po moście jadą:
Trąbią po górach trębacze,
Zwożą swéj pani haracze,
Wierni poddani.
Przynieśli w dani
Dary wielkie, dary małe,
A Jegomość serce stałe
Przyniósł w ofierze.
Przyniósł w ofierze:
A więc rycerze,
Każdy z nich uradowany,
Rozpoczęli różne tany
Naprzód *polskiego*.“ [1])

— Ależ to ballada zupełna—zawołał z podziwieniem Żukowski—zkądże Brodziński wygrzebał tę perłę.

[1]) Taniec polski, polonez.

— Zapytaj go sam, ale on jéj się nauczył we dworku ojcowym, gdy go kołysały wiejskie dziewuchy, albo niewiasty wiejskie. . .

— Poczekajcieno! przypomina mi się lubo nie cała piosenka, z lat moich dziecięcych — przemówił Żukowski—nie pomnę jéj całéj, ale treść jéj dobrze pamiętam i jéj zakończenie. Przylatuje sokół i pada w ogródku przy wonnym kwiecie, a za nim Jaś, wzywa Kasienkę ażeby wyszła do niego. Wychodzi, dosiadują wozu, i dziewczę opuszcza dom rodzinny i zasmuconego ojca. W drodze ptak ten ich poprzedza. . .

„Ale zdala widać w polu biały dom!
Upadł sokół pod okienkiem,
I z Kasienką i z Jasienkiem,
Roztoczył ogon!“

— To widzicie — odrzekłem — *sokół* tu daremnie nie jest wspomniany, bo on jest *godłem* prawdziwéj miłości i wierności.

— Ach mój Boże! jaka to szkoda — przerwał mi — żem o tém nie wiedział; jakby to mi się przydało do mojéj rozprawy. Ale zkądże o tym wiecie? . .

— Z badania bliskiego ludu — odrzekłem — nie przy zielonym stoliku, lecz przy jego ognisku domowém, w czasie wesel i obchodów rolniczych, patrząc nań z blizka.

W tę chwilę drzwi się otwarły, i ukazała się wychudła postać *Andrzeja Kucharskiego* w okularach.

Bronikowski powstał na jego powitanie, i my zbliżyliśmy się do niego.

— Dobrze żeś professor przyszedł do nas, — mówił Żukowski, — bo właśnie tu rozmawialiśmy o naszych pięknych pieśniach ludowych. Zapewne professor w swoich uczonych podróżach po krajach słowiańskich zajmowałeś się niemi, i nie mało nam ich przywiozłeś.

— Bynajmniéj — odrzekł z powagą Kucharski—na takie drobiazgi nie użyteczne, nie zwracałem wcale uwagi. Moja rzecz i główne zadanie, *czysta filologia*; rozumiecie panowie: *czysta filologia!*

Umilknąłem na chwilę, tak mnie odurzył swoją odpowiedzią. Wiedziałem że to uczony człowiek, przed pięciu laty wy-

dał Stanisława Zaborowskiego *Ortografię polską*, a gdy kosztem władzy edukacyjnéj wysłanym został dla zwiedzenia krajów słowiańskich, w celu usposobienia się na professora przy uniwersytecie Warszawskim języka i piśmiennictwa słowiańskiego, drukował w *Gazecie Polskiéj* przez dwa lata: „*Listy z krajów słowiańskich*.“ Przybywał do nas z gotową już sławą, która go poprzedziła z zagranicy. Ale gdym nieco ochłonął z pierwszego wrażenia. . .

— A cóż professor robiłeś—zapytałem tłumiąc gniéw w sobie, za obrazę poezyi ludowéj, którą się tak serdecznie zajmowałem wówczas—co badałeś i z czém do nas wracasz?

Pomimo okularów, nie dojrzał mego wzruszenia Kucharski, bo spokojnie zasiadłszy miejsce *tabaczkowego surduta*, zaczął nam rozpowiadać o swoich zdobyczach naukowych, tak co do filologii, jako téż, co do najdawniejszych pomników prawodawstwa słowiańskiego.

— Rozdziawicie panowie gęby—mówił z wielkiém zadowoleniem—kiedy zobaczycie jakie *raritasy* połowiłem. Już pracuję nad tém, i spodziewam się że godnie odpowiem, położonemu we mnie zaufaniu władzy edukacyjnéj. Com się namozolił i napracował, zanim doszedłem tajemnicy alfabetu runów słowiańskich. Dziś—zawołał z niezwykłym zapałem podnosząc rękę w górę—runy czytam tak gładko jak zwyczajne pismo: ten *sfinx* przemówił do mnie wyraźnie. Tak co milczało przez tysiące lat dla tylu, musi mówić do mnie!

— To professor widzę—rzekłem do niego—taki czarodziéj, jak ów grajek ludowy, co jak zagra na czarodziejskiéj fujarce, to dawno zmarli powstają z grobów zmartwychwstali, i przemawiają swoim własnym głosem i myślą.

Uśmiechnął się na to Kucharski, tak mu się to porównanie podobało, a dmuchając na filiżankę gorącéj czarnéj kawy, i zwolna popijając, kiwał głową.

— Szkoda jednakże—po chwili dodałem—że mając tak piękną sposobność nie poświęciłeś ani chwili na zebranie ludowéj poezyi, nie wpatrywałeś się na żywy ustrój społeczności tak rozmaitych pokoleń słowiańskich...

— O ile miałem wolnego czasu, i to potrosze badałem: przywiozłem zbiór pieśni serbskich *Wuka Stefanowicza Karadzicza*, i *Czelakowskiego*.

— A z naszych nic nie potrafiłeś pan zdobyć? — zapytałem.

Zamyślił się chwilę, a smakując wypitą kawę:

— Dobrze że mi pan przypominasz o tém — odrzekł — kiedy bawiłem we Lwowie, młody seminarzysta od Ś-go Jura, *Głowacki*, dał mi zbiorek pieśni ludowych Rusi galicyjskiéj: mogę go panu ofiarować, bo mi się to na nic nie przyda, a wiem że zajmujesz się tym przedmiotem.

Byłbym go ucałował, tak mnie tym uradował darem, a chcąc go mieć w ręku co rychléj, zapytałem:

— A kiedyż to otrzymam?

— Jutro bądź pan tutaj, a jak przyjdę na kawę, to przyniosę i oddam.

IV.

Bronikowski.—Dramat z życia „*tabaczkowego surduta*."—Rękopism Głowackiego: Pieśni ludu Galicyjskiego.—Pieśń o *Doboszu* wodzu Opryszków.—Franciszek Karpiński.—„Trzy kukułki."—Melodye ludowe.—Odwiedziny moje u Andrzeja Kucharskiego.— Najdawniejsze pomniki prawodawstwa słowiańskiego.

Rozeszliśmy się wkrótce, a ja gorączką niecierpliwości trawiony, zaraz po obiedzie jak najwcześniéj przybyłem do kawiarni. Zdawało mi się że piérwszym będę, tymczasem z niemałém zadziwieniem, znalazłem już Bronikowskiego. Zaledwie mnie ujrzał, powstał żwawiéj niż zwykle z kanapki, i biorąc mnie pod rękę zaprowadził do drugiego pokoju.

— A wiesz, żem wczoraj mimowoli kapitalne głupstwo uciął!

— Jakież to mogłeś popełnić?—zapytałem zdziwiony.

— Pamiętasz, jak nasz *deklamator* chwalił *Fragment* Korzeniowskiego, a ja bez żadnéj myśli, nieczytając go nawet, tak sobie wybąkałem, że mu może przypomina jakąś przygodę z jego własnego życia. Widziałeś jak mało nie wybuchnął gwałtownie i zaledwo zdołał się poskromić. Kiedym wrócił do domu znalazłem ten tom *Meliteli*, przeczytałem najprzód ten sam

fragment, i aż pochwyciłem się za głowę. A toż to przygoda jakby co do słowa wzięta z jego życia.

— Czy to być może?

— Tak jest—ciągnął daléj Bronikowski—i djabli mnie donieśli żem go dotknął tak boleśnie. Człowiek to już nie młody, jak sam widzisz, ale gorejący jeszcze pomimo lat swoich. Służył on w głośnym pułku *Szwoleżerów*, co się wsławił w Hiszpanii zdobyciem wąwozów *Somo-Sierra*. Młodym wówczas był chłopcem, liczył zaledwie ośmnasty rok życia; w tym szwadronie znalazł przyjaciela, którego ukochał serdecznie; byli oni z sobą nie rozdzielni, jeden za drugiego oddałby z ochotą życie: jakoż wśród przygód wojennych mieli sposobność pokazać dowody téj niezłomnéj przyjaźni. Jego przyjaciel słynął z urody pomiędzy wszystkimi współtowarzyszami broni, gdy nasz deklamator, zawsze był brzydki, jak go znasz, lubo nie był takim jak jest dzisiaj, bo go krasił wdzięk młodości i postać nadzwyczaj zgrabna i ruchliwa. Dostał się do niewoli i lat kilka w niéj przebył, gdy piękny *Adaś*, wróciwszy do kraju a będąc majętnym, zajął się gospodarstwem, objąwszy duże dobra po ojcu swoim i ożenił się wkrótce. Małżonka jego, którą znałem, była w całém znaczeniu tego wyrazu piękną, a przy piękności nadzwyczaj ponętną i powabną. Blondyna, wysokiego wzrostu, zgrabna jak sarna, oczy prześliczne habrowe, brwi przytém czarne jaskółcze. Usteczka małe, jakby pączek rozkwitającéj róży, z pod któréj ukazywały się drobne jak perły ząbki. Były one rzadsze: a to ma stanowić zalotność w kobiécie, i rzeczywiście pani Adamowa była zalotną. Po dwóch latach pobrania, w porze zimowéj zjawia się w ich dworze jakiś podróżny w kożuchu, a była wielka zamieć śniegowa na dworze. Jakież było podziwienie *Adasia*, gdy w przybyłém poznał serdecznego swego przyjaciela, a naszego *deklamatora*. Od téj chwili zamieszkał w ich dworze. Latem państwo Adamowie wyjechali zagranicę, on rządził ich majątkiem uczciwie i sumiennie. Kiedy w grubéj jesieni wrócili, i złożył tak rachunki jak pieniądze zebrane z dochodów, *Adaś* był w zachwyceniu, bo nigdy tyle gotowizny nie miał ze swego majątku. Przed świętami Bożego-Narodzenia otrzymał wiadomość o zgonie babki swéj żony, i sukcessyi dużéj jaka na nią, jako na jedyną wnucz-

kę spadała. Nie było czasu do stracenia, trzeba było co rychléj pospieszyć i objąć w posiadanie tak dobra jak kapitały i ruchomości. Zostawia więc pod opieką swego przyjaciela żonę i gospodarstwo. Było to ciężkie zadanie dla niego: trzeba było bawić i rozrywać młodą a tak piękną panię, wśród długich wieczorów zimowych i w pustym a tak dużym murowanym dworze. Nasz przyjaciel, który górował o wiele nad Adasiem wykształceniem umysłowém i wrodzonemi zdolnościami, a przytém ciągle pracował nad sobą usilnie; znający zarówno literaturę europejską jak i swoją na palcach, miał bogaty zasób wiedzy, ażeby znudzoną w tych pustych ścianach, nie potrafił rozerwać i przynieść jéj pożądaną zabawę. Jeżeli to szkaradne jego oblicze budziło w niéj wstręt z początku, powoli zaczęła do niego nawykać: brzydota znikała, a gdy czytał lub deklamował, znajdowała w twarzy jego wdzięk nie dostrzegany dawniéj. Przeszedł grudzień i styczeń, męża nie było, pisywał wprawdzie często, ale zawsze swój powrót odwlekał. Daremnie go naglił nasz przyjaciel, ażeby co prędzéj ukończył interesa, i rozweselił dom osamotniony: daremnie mu przedstawiał tęsknotę młodéj małżonki, a i sama pani Adamowa z nią się przed mężem nie kryła, zaczęła jéj się lękać, bo niemasz niebezpieczniejszéj chwili w życiu dla młodej i pięknej kobiéty zamężnéj, gdy poczuje nudotę w domowych ścianach i osamotnienie.

Przeszedł karnawał w domu, pani Klara jako *słomiana wdowa*, przesiedziała w pustym dworze, z przyjacielem swego męża. Widywali się przy obiedzie, zajęty następnie gospodarstwem, przychodził dopiéro gdy zmrok zapadł ciemny; ale od téj chwili do dwunastéj w nocy przepędzali razem na przyjemnéj rozmowie, albo téż jéj czytywał wyborowe dzieła. Klara, gdy na kominku płonął ciągle ogień, zasiadała na ulubionéj kanapce z robótką w ręku, gdy nasz deklamator czytał jéj lub opowiadał zajmująco, przygody obozowego życia, albo opisywał kraje, które poznał lepiéj i w których bywał. Młoda kobiéta z początku zajmowała się robotką, ale po chwili, wypadała jéj z ręku, i mimowolnie patrzała na czytającego lub opowiadającego. Znasz jego oczy błyszczące i teraz żarem, cóż mówić wówczas, gdy pokochał ją całą miłością wrzącego serca, a to uczucie dławił w piersiach swoich. Już to nasz poczciwy *Łukasz Górni-*

cki powiedział dobrze w swoim *Dworzaninie*, że „*oczy są to wierni od serca posłowie*“ niemi też tylko mówił. Przed potęgą tego spojrzenia znaleźć nie mogła żadnéj tarczy w swéj samotności, i uległa sile magnetycznéj.

Zapusty były długie, bo dopiéro kończyły się piérwszych dni marca: pani Adamowa z boleścią i ze łzami przypominała sobie zeszłoroczny karnawał, w którym tak się ubawiła i wytańcowała. Teraz, opuszczona, tém większą goryczą miała serce przepełnione wśród téj walki jaką sama z sobą staczała. Listy od męża nadchodziły coraz rzadzéj, były coraz krótsze i chłodniejsze. Wreszcie otrzymała od swéj dawnéj przyjaciołki obszerny list, z którego się dowiedziała, jak mąż wesoło się w ich okolicy bawi, jak rej wiedzie pomiędzy hulaszczą młodzieżą, i jak go najpiękniejsze kobiéty wzajemnie sobie wydzierają. Trudno opisać boleści biednéj kobiéty: postanowiła się zemścić, i zemściła.

Skończyły się dni mięsopustne, gdy przed oficyną którą zamieszkiwał nasz *deklamator*, przybył pocztą jakiś nieznajomy i doręczył mu list. Widać że był krótkiéj treści, bo zaledwie wysiadł z bryczki, po kilku minutach zaraz odjechał. Nikt nie wiedział kto to był, i po co przybył.

Tego dnia, pani Klara jadła obiad samotna, ale jakby wiedziona smutném przeczuciem ciągle łzy miała na oczach. Nasz przyjaciel już się przed nią nie pokazał, a o północy tajemnie dwór opuścił. O mil dwie w oznaczonéj dąbrowie, rano o 9-téj godzinie znalazł już grono dawnych kolegów, a między tymi i *Adasia*, który blady i drżący z gniewu i oburzenia wskazał mu jego i swoich sekundantów i rzekł ponuro:

— Wyzwałem pana! masz więc piérwszy strzał. Strzelaj a celnie, bo ja cię, jak mnie chybisz, zabiję jak psa!

Wiesz jaką on ma brzydką twarz i bladą, w tym dniu był jednak czerwony, widać krew uderzała silnie do serca i głowy. Nie odrzekł ani słowa, pistolet odebrał od swego sekundanta, wymierzył, a z hukiem wystrzału, padł *Adaś* trupem ugodzony w samo serce. Była to chwila pełna wzruszenia, gdy morderca przybiegł do trupa, chciał tamować krew jego, okrywał gorącymi pocałunkami blade lica, głowę i ręce zimne. Ale

gdy ujrzał, że nic biédnego Adasia nie powróci do życia, zaryczał strasznym płaczem, dosiadł bryczki i zniknął bez śladu.

— Jakto! — zapytałem — nie powrócił do niéj?

— Nie!

— A cóż się stało z nieszczęśliwą wdową?

— W rok i siedem tygodni, gdy zrzuciła grubą żałobę, poszła za swego kuzynka, który za nią szalał wtedy gdy się Adaś miał z nią żenić. Widzisz więc jak wielce podobny *Fragment* Korzeniowskiego, do jego przygody. Jakżeż na nim nie miał wywrzeć potężnego wrażenia, gdy mnie dreszcz przeszedł kiedym odczytał ten ustęp. Wyjął książkę z kieszeni i z cicha mi odczytał:

„W młodości przyjaciela jedynego miałem,
Kochał mnie, ja go wzajem i z serca kochałem;
Wszystko mieliśmy wspólne, i z duszą gotową
Byłbym się z nim podzielił i życia połową.
O trwałości przyjaźni, o szczęściu w kochaniu,
Zawsze z sobą i zgodni w uczuciu i zdaniu
Rośliśmy, dojrzewali, jak dwa blizkie drzewa,
Których liściem splecionym jeden wiatr powiewa;
Jedną barwą okryci i zbrojni żelazem
Stanęliśmy w szeregach, i walczyli razem! . . .

Bronikowski przerwał czytanie, i mówił daléj.

— Gdybym to był wpierwéj odczytał, nierozważne słowa moje nigdyby z ust nie wyszły; teraz już go prędko nie zobaczę, a może już i nigdy nie spotkam. Szkoda, bo to dzielny współpracownik!

— Jakto, to on i pisze? — zapytałem zdziwiony.

— Pisze i wybornie, bo ma biegłe i wytrawne pióro.

Teraz zrozumiałem stosunek Bronikowskiego z *tabaczkowym surdutem*. W téj właśnie chwili ukazał się Żukowski; ja wzruszony słyszaném opowiadaniem usiadłem w kąciku i piłem czarną kawę, gdy drzwi się otwarły i ukazał się *Kucharski*, dla którego przyszedłem, i oczekiwałem niecierpliwie, ale pod wrażeniem przygody naszego deklamatora zupełnie zapomniałem. Kucharski ujrzawszy mnie rzekł:

— Dobrze żeś pan przyszedł, oto masz kajecik Głowackiego pieśni. Proszę do siebie, to ukażę mu com zebrał w podró-

ży i jakie drogocenne zabytki, a przytém zapoznasz się ze zbiorami poezyj ludowych Serbów, Słowaków i Czechów. Mieszkam obok Uniwersytetu.

Podziękowałem mu za dar drogocenny, i spiesznie do domu wróciłem ażeby co rychléj bliżéj go poznać. W małym zeszycie mieściło się dziesięć czy dwanaście pieśni w narzeczu Rusi Galicyjskiéj, który dobrze rozumiałem, wyuczywszy się téj *gwary* na Podlasiu i w Hrubieszowskiém zbierając przez dwa lata poprzednio tak piosenki jak podania miejscowe. Na czele była pieśń o *Doboszu*, słynnym wodzu opryszków w Tatrach po za Prutem. Z jakąż roskoszą odczytywałem ją kilkakrotnie, dosnuwając wyobraźnią braki jakie w niéj widocznie całość wątku przerywały. Postać tego *Dobosza*, która się dziwnym zbiegiem losu skojarzyła z narodzinami poety *Franciszka Karpińskiego*, olbrzymiała w moich oczach. Wiedziałem, że w chwili, gdy świat ujrzał ten *śpiewak Justyny*, jak go zwano, *Dobosz* na czele swéj bandy, napadł na *Pokuciu* dwór starego Karpińskiego. Ten, wcześnie ostrzeżony, ratował się ucieczką, ale żonę musiał porzucić: kazał więc stoły sute zastawić na przyjęcie rozbójników. Dobosza, przygotowanie tak gościnne ujęło za serce, kazał swoim *chłopcom* cicho się sprawić, a podjadłszy z nimi, i dawszy dukata w złocie gospodyni co ich przyjmowała, udał się do komnaty pani Karpińskiéj ze słowami pokoju, prosząc, iżby na pamiątkę, że w chwili jego nawiedzin chłopiec się urodził, aby nosił jego imię Aleksy. Wystraszona matka przyrzekła to wodzowi opryszków, ale dziecię otrzymało późniéj na chrzcie imię *Franciszka*.

Pieśń ta zaczynała się od tych wierszy:

Oj! po pid haj zełenenki,
Chodyt Dobosz mołodeńki:
Chodyt Dobosz po dołyni,
Po zełenyj murawyni,
Na *Sopiwku* wyhrywaje,
Taj na niżku nalehaje,
Topircem sia podpiraje,
I na chłopci pokłykaje!..

W dalszym ciągu, *duma* ta opiewa, jak udał się do swéj *lubaszki* żony *Stefana Dźwinki*, i od niego śmiertelnym wystrzałem ugodzony, każe się zanieść na *Czarną górę*, i tam kończy życie, przepowiadając swoim towarzyszom, że po jego zgonie, wszyscy poginą marnie.

Rozkoszując się tą pieśnią, anim pomyślał, że w trzy lata późniéj, zamieszkam po nad Prutem, w pobliżu *Czarnéj hory*, że napawając się uroczym widokiem tych Tatrów, co się piętrzyły w kilka garbów coraz wyższych na czarnoziemiu Pokucia, zarówno jak w okolicach *Stryja*, znajdę żywe i ciepłe jeszcze tradycye śladów krwawych tego opryszka, który długo bezkarnie bobrował po tym kraju.

Po téj pieśni, było kilka lirycznych, a przy końcu obszerniejsza duma, która mnie szczególniéj uderzyła tak myślą swoją jak i formą poetyczną. Oto jéj treść:

„Wyleciał sokoł z lasu na pole, a potém siadł na wysokiéj górze, a z góry poleciał na wysoką sosnę. Wiatr powiewa, sosna się buja“: „nie chylaj się sosno, bo mi i tak żałosno“.

„Uderza strzała z wysokiego nieba, i zabiła syna wdowy! Niema komu, by dał znać matce, żeby przyszła pochować swe dziecko. Aż nadlatują trzy kukułki, wszystkie trzy siwuteńkie, wszystkie trzy smutneńkie. Oho! jedna upadła na końcu główki, druga na końcu nóg, a trzecia upadła na końcu serduszka; na końcu głowy, to stara matka, przy końcu nóg, siostra rodzona, przy końcu serduszka, to jego miła!

Gdzie matka płacze, tam krwawa rzeka, gdzie płacze siostra, tam krwawa krynica: gdzie płacze miła, tam sucha ścieszka!

Bo matka płacze od roku do roku, a siostra płacze, ile razy go wspomni; a miła płacze, ale już myśli o innym kochanku!“

Jakież było moje podziwienie, gdym znalazł zaraz w *Haliczaninie*, tak pobratymczą téj dumie ludowéj, pieśń serbską w przekładzie Augusta Bielowskiego. Właśnie odwiedził mnie Żukowski, pokazałem mu najprzód ruską w rękopiśmie, a następnie dałem drugi tom *Haliczanina*, który w głos przeczytał:

Trzy kukułki.

Jan altaną przechadzał się z rana,
Załamała się pod nim altana;
Złamał rękę, potłukł sobie barki:
Udano się do sławnéj lekarki,
Do mieszkanki borów *Wili* młodéj [1]).
Lecz ta wielkiéj żądała nagrody,
Prawéj ręki żądała od matki,
A od siostry uplot włosów rzadki,
A od żony sznur pereł maleńki.
Matka białéj nie żałuje ręki,
A za matką daje włosy córka;
Lecz dać nie chce żona pereł sznurka.
„Nie dam pereł, niech mnie Bóg ukarze!
Od ojca odebrałam je w darze".
A więc w rany Wila rozgniewana,
Wlała jady, i otruła Jana!
Trzy kukułki kukają nad strugą:
Jedna kuka dniem i nocą długą,
Druga w wieczór i z jutrzenką białą;
Trzecią kuka i rzadko i mało.
Ta, co kuka dzień w dzień, co godzina,
Jest to matka, co straciła syna;
Ta, co z wschodem i z zachodem słońca,
Jest to siostra po bracie płacząca:
Co się kiedyś niekiedyś odzéwa,
Jest to Jana żona czarnobréwa!..

Gdy skończył, zadumał się i rzekł do mnie:

— Myśl jedna natchnęła obiedwie piersi, ale jakże odmienne treścią i formą swoją. Coraz więcéj widzę obszary świata ducha ludowego, o którym nawet nie marzyłem: widzę żem moją rozprawkę zawcześnie drukował.

— Świat ten — odpowiedziałem — już nam odkrył piérwszy Chodakowski: pamiętajcie o nim, w dalszym ciągu swéj pracy. A jakież to bogactwo melodyi, co za rozmaitość o któréj nic nie wiemy, bo tak niedbali jesteśmy, że się o ten skarbiec nie

[1]) *Wila*, postać mitologiczna u Serbów. Lud, prócz innych przymiotów, wierzył, że znała się na ziołach i skutecznie leczyć umiała.

troszczymy. *Szopen* napawa się niemi, i jak mówił do Magnuszewskiego że to prawdziwa *Kastalska* krynica dla kompozytora; że te melodye wywołają kiedyś, gdy się z niemi zapoznamy dobrze, prawdziwych muzyków narodowych, na okrzyk podziwienia i poklask cudzoziemców. Słyszałem, że słynny skrzypek *Karol Lipiński* przygotowywa melodye do bogatego zbioru pieśni polskich i ruskich, które młody literat galicyjski do druku przygotowywa. Zaraz jutro pójdę do Kucharskiego, bo muszę mu podziękować, za dar tak piękny, który nieumiał ocenić, i zobaczę co téż przywiózł ze swéj kilkoletniéj podróży.

Nazajutrz około południa wybrałem się do uczonego sławianofila. Mieszkał w trzecim czy czwartym domu za *Uniwersytetem Warszawskim* na Krakowskiém Przedmieściu, na pierwszém piętrze; miał jeden pokój od ulicy, drugi od podwórza który mu służył za bibliotekę i za sypialnię.

Zastałem Kucharskiego w wielkim negliżu, ale z *fezem* ponsowym na głowie; zajadał smaczno jakieś owoce, przechadzając się w *mesztach* także ponsowych z wysokiemi nosami, po pokoju.

Małom mu w nos nie parsknął śmiechem, patrząc na jego brzydką a pocieszną figurę. Twarz chuda, policzki zapadłe, oblicze bez żadnego wyrazu, oczy zamglone, pokryte okularami; łysy, ręce kościste, nogi jak badyle; czoło do połowy zasłonione fezem, z ogromnym *fontaziem* spadającym mu na kark: wszystko stanowiło całość tak oryginalną, tak wyborną do karykatury, a tak pocieszną, żem całą siłę przywołał w pomoc, żeby utrzymać jaką taką powagę w rozmowie.

Prosił siedzieć, usiadłem; Kucharski ciągle smakowicie zajadał i przechadzał się wzdłuż pokoju, jakby chciał swą postać udatną ukazać mi z każdéj strony. Wtedy przemknęła mi po głowie myśl: czy téż znajdzie on na świecie kobiétę, któraby zachwycona jego wdziękami, miała odwagę podać mu swą rękę?

Nareszcie, zjadłszy swoją porcyę owoców, wilgotne palce wytarł o *fez* wspaniały, i przystąpił do jednéj szafki dla pokazania mi swoich naukowych zdobyczy.

Wyjął na stół książki, po nich wydobył rękopisma. Z pierwszych oprócz pieśni serbskich *Wuka Karadzicza* i *Czelakowskiego* było wiele dzieł rzadkich do dziejów i literatury czeskiej. Z manuskryptów ukazał w kopii: „*Zakonnik serbski*, cara *Stefana Duszana Silnego* z 1390 roku. Kopia ta była sporządzona starannie, dopiéro w r. 1700. Daléj *Prawa ziemi czeskiéj*, przepisane ze starego rękopismu, ale przejrzane i poprawiene gdzie się ukazały błędy, przez Wacława Hankę bibliotekarza Narodowego Muzeum w *Pradze*. Do tych ostatnich należał i *Wykład na prawo ziemskie*, *Andrzeja z Duby*

— Widzisz pan—mówił do mnie – to są ważniejsze rzeczy jak wasze piesni gminne. Bawcie się niemi, bo młodzi jesteście, ale to są rzeczy dla poważnych ludzi, którzy się fraszkam bawić nie umieją. Studyuję teraz te najdawniejsze pomniki prawodawstwa słowiańskiego i myślę je wydać, ale w kompletnym zbiorze. Najprzód dam *Prawdę ruską*, bo mój kodeks znacznie się różni co do porządku paragrafów od wydanéj przez Rakowieckiego, i dodam przekład niemiecki podług dziesa *Eversa*; potém pójdzie: *Zakonnik serbski*, także z niemiekiém tłumaczeniem; daléj: *Prawo ziemi czeskiéj*, wraz z wykładem tego prawa przez *Andrzeja z Duby*; dodam: *Postępowanie sądowe w ziemi czeskiéj*, a każdy pomnik objaśnię i wzbogacę objaśnieniami krytycznemi, nad którémi, mój panie, trzeba dobrze głowy nasuszyć.

— Kiedyż professor myślisz to wydać? – zapytałem.

— Ho! ho! mój panie—odpowiedział potrząsając głową a z nią i fezem tak silnie, że długi i gruby fontaź, rozbujany uderzył go w oblicze i okulary zrzucił.

Jużem nie mógł się powstrzymać i parsknąłem śmiechem z całéj piersi, a gdy professor okulary w fontaź zaplątane wydobywał, rzekłem dla pokrycia mego wybuchu:

— Wierzę że do tak ogromnéj pracy wiele lat potrzeba będzie.

Kucharski zbierał ze stołu rękopisma i książki, ażeby je ułożyć napowrót w szafie, gdym mu w tém pomagał, kiwając głową, ale już ostrożniéj; mówił z przerwami:

— To tak, kochany panie!... nie łatwa to rzecz!... to nie spacerować sobie po wsi i zbierać piosenki, bawiąc się z pijaném chłopstwem!

Ukłoniłem mu się z dala, i tak się skończyła pierwsza moja wizyta u niego.

V.

Antoni Malczeski i jego *Marya*.—Krytyka *w Bibliotece Polskiéj*.—Bronikowski i *tabaczkowy surdut*.—Pani Klara w Teatrze narodowym.—Franciszek Dmochowski tłumacz *Iliady*.—Franciszek Salezy Dmochowski syn jego.—Franciszek Kowalski.—Cieszkowski August.

W parę dni, gdym nieco późniéj odwiedził tę kawiarnię, już na schodach zanim drzwi otworzyłem, usłyszałem w niéj niezwykły gwar, a wpośród niego kilka głosów więcéj podniesionych. Kiedym stanął na progu i spojrzałem, z podziwem zobaczyłem *tabaczkowy surdut*, który do gromadki przed sobą stojącéj zawołał:

— *Aboś nie słyszał to, kiedy w lisi ogon trąbiono?*

Nie pojąłem znaczenia tych słów; kiedym się zbliżył więcéj, ujrzałem zebranych Żukowskiego, Kucharskiego, Gaszyńskiego i Franciszka Kowalskiego, a za nimi siedzącego Bronikowskiego. Żukowski trzymając jakąś książkę z niezwykłém rozognieniem mówił:

— Jak to można, o takiém arcydziele takie duby smalone prawić i traktować jakby jaką klassyczną fraszkę!

— O co idzie?—z cicha zapytałem Bronikowskiego.

— A to się on gniewa o recenzye *Maryi Malczeskiego*, którą napisał Dmochowski *w Bibliotece Polskiéj*, i przyniósł ten tom dzisiaj, bo wczoraj spory o nią toczono. Stare rzeczy odgrzewa. Pięć lat jak Dmochowski to napisał, no prawda nie wyniósł tego utworu pod niebiosy, ale zwrócił nań uwagę i zalety podniósł, lubo zarzuty płonne strasznie porobił. Zawsze dał swoje zdanie z własnego przekonania wypływające. Drudzy o nim nawet nie wspomnieli: dlatego *pan Piotr* zawołał na niego starym myśliwskiém przysłowiem: „*aboś nie słyszał to, kiedy w lisi ogon trąbiono*“.

Dowiedziałem się wtedy pierwszy raz, że nasz *tabaczkowy surdut* ma imię Piotra.

Kiedy wzrastała wrzawa, a w niéj rej wodził Żukowski, *tabaczkowy surdut* powstał, zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu, a wlepiwszy swoje czarne, błyszczące oczy, magnetyczną ich siłą zamknął mu usta dorazu. Uważałem, że Żukowski rozczerwieniony z zapału, chłódł coraz bardziéj, aż niedługo szczególna bladość wybiła na jego schorowane oblicze.

— Mój bratku! teraz kiedy wam zdjął *kurzą ślepotę Maurycy* pokazawszy całą wysoką wartość *Maryi*, to szermujesz śmiało za Malczeskim, a gdy wydał swoją *Maryę*, to nikt nie chciał egzemplarza kupić. Kiedy umarł, kilku nas tylko poszło za trumną, cośmy garstkę ziemi rzucili na martwe zwłoki wielkiego poety. Niedawno to temu, a dziś już nikt nie wié gdzie spoczywa, i ja sam pamiętam tyle tylko, że gdzieś w pobliżu ponurych katakumb. Taka to nagroda na tym świecie, dla geniuszów i wyższych ludzi, co przenoszą o całą głowę głupią gawiedź.

Po tych słowach wrócił do swego stolika i usiadł pod oknem.

— A cóż?—zapytałem redaktora Kuryera Polskiego—czy już się na was nie gniewa?

— Chodźmy do drugiego pokoju—szepnął Bronikowski.

— Uważ sobie moje zadziwienie, gdym go nazajutrz zobaczył tu na kawie, siedzącego w swoim zwyczajnym kąciku, spokojnie palącego fajkę i popijającego kawę. Przywitał mnie nawet serdeczniéj niż zwykle, a gdym go zaczął przepraszać za nieoględne słówko któregobym nie powiedział przeczytawszy wprzód *Fragment* Korzeniowskiego, podał mi rękę, i odrzekł z uśmiechem szyderskim nieco:

— Dziękuję ci i za to. Wzburzony wybiegłem z kawiarni: zabiegłem do *Królikarni*. Ochłonąłem z ważenia i wspomnień, a ciągniony jakiémś nieprzepartém uczuciem poszedłem do teatru. Grali Fredry, *Cudzoziemszczyznę*: główną rolę przedstawił dobrze Dmuszewski, a starego sługę wybornie *Anczyc*. Siedziałem na parterze, gdy w połowie pierwszego aktu drzwi loży pierwszego piętra roztwarły się z łoskotem, i weszła wystrojona, a zawsze cudnie piękna.....wiész kto?

— *Klara*! — dodałem mimowolnie.

— Tak! to ona była, z nowym a już trzecim swoim mężem, widać na oko jakimś głupim elegancikiem. Z drugim żyła lat ośm czy dziesięć, z tym już lat kilka: ale Bóg ją skarał, bo nie dozwolił jéj otrzymać dostojnego imienia matki, którego tak gorąco pragnęła zawsze! Za niemi wszedł piękny, dorodny mężczyzna, lat przeszło trzydzieści mający, dla którego byli oboje ze szczególnemi uprzejmościami. Małżonkowie siedzieli na przodzie loży, on za niemi. Ja ulokowałem się wybornie na prost ich loży, i od téj chwili, już nie na scenę, ale na piękną panią patrzałem. Kiedy mąż po teatrze lornetował, uważałem że pani *Klara* często zamieniała wymowne spojrzenia ze swym gościem w loży: oho! zrozumiałem cały interes. Myślę sobie, w to mi graj; powstałem z ławki, i w antrakcie wlepiłem w nią swoje oczy. Przypadkiem spotkała ich spojrzenie, i zadrżała, a ja w duszy powtarzałem sobie z Mickiewiczem. (I zaczął swym dźwięcznym głosem deklamować:)

Ja nic nie odpowiem,
Tylko na nią cisnę okiem!
Ha! okiem! jadowitéj żmije,
Całe piekło z mych piersi przywołam do oka:
Niech będzie ślepą, martwą jak opoka,
Na wskroś okiem przebiję.
Wgryzę się jak piekielny dym pod jéj powieki,
I w głowie utkwię na wieki.
Będę jéj myśli czyste przez cały dzień brudził
I w nocy ją ze snu budził".

Od téj chwili gdym ją przybił do miejsca nieruchomą pałającym moim wzrokiem, który mówił jéj wyraźnie o naszéj miłości: zaczęła blednąć — i wkrótce przed końcem sztuki opuściła lożę. Wybiegłem i ja, stanąłem w podwojach. Pod ręce prowadził ją mąż i gość piękny do którego uśmiechała się wdzięcznie. Nagle ujrzała mnie... krzyknęła i omglała. To było dosyć dla mojéj zemsty. Téj nocy spałem wybornie, ale rano stanął mi na myśli biédny *Adaś*; poszedłem do Kapucynów i dałem na mszę żałobną za jego poczciwą duszę. Wiész Ksawery, nie modliłem się nigdy tak szczerze, chyba w czasach

moich studenckich; spłakałem się jak bóbr rzewnemi łzami, ale jakoś mi teraz spadł ciężki kamień z serca i lekko i swobodnie oddycham.

— Dziwny to człowiek!—wyrzekłem zamyślony!

— Tak, dziwny, ale wiele w téj duszy szlachetności; zdolności zaś umysłowe potężne—dodał Bronikowski.

Żukowski nie ustawał w piorunowaniu na lekkomyślną krytykę.

— A dajże już pokój, mój kochany—zawołał Bronikowski: rzecz tę już dawno załatwił Mochnacki podniesieniem znaczenia i wartości *Maryi* w Gazecie Polskiéj: cała więc sprawa *ad acta.*

— A dajcie pokój—odezwał się pan Piotr—i poczciwemu Dmochowskiemu! Jak to źle że zapominamy zasług przeważnych i poczciwych. Dmochowski dla oświaty krajowéj i literatury, więcéj zrobił niż ktokolwiek z was, bo rozszerzył koło czytelników polskich książek, i to nie rozpowszechniając brudów, ale podnosząc umysły w krainę piękna. Co zaczął Bruno Kiciński dla prassy peryodycznéj, to wytrwale Dmochowski prowadził daléj: wydawnictwo tłumaczeń powieści Walter-Skotta, on piérwszy rozpoczął, i nimi jak i innemi z belletrystyki od roku do roku stwarzał nowych coraz zwolenników duchowéj strawy, biorących się do lekkich słodyczy, z których zawsze piękny procent przechodził na strawę cięższą i pożywniejszą dzieł naukowych. Mickiewicz dosyć mu gorącego ukropu wlał za kołnierz, a chociaż mu się odciął i wiele prawd zacnych wypowiedział, pobity z pola uchodzić musiał. Wy zapaleni romantycy, za gorąco rzeczy traktujecie, a ja wam powiem głośno i otwarcie, że starożytne *piękno* w greckiéj głównie poezyi zawsze i na wieki zostanie *pięknem.* Wrzeszczycie na ojca Dmochowskiego za tłumaczenie *Iljady*, że przekładał a nie umiał po grecku: fałsz to wierutny! bo lubo nie posiadał go w takim stopniu jak łaciński, ale gładko czytał, dobrze nietylko rozumiał, ale co więcéj czuł wielkiego *Homera.* Z was żaden romantyków na taką olbrzymią pracę się nie porwie, a ja wam zaprawdę powiadam, że jest to wyborny przekład *Iljady*, i przyjdzie czas gdy uznają wielkie zasługi tłumacza Homera. Polska literatura poczeka nie jedno stulecie, nim się drugi taki tłumacz pojawi.

— Ale co tam takie bajki nam prawicie: już to rzecz osądzona co do Dmochowskiego w ostatniéj Instancyi!—odrzekł jeszcze sporem rozgrzany Żukowski.

— Na upór niema lekarstwa—chłodno pan Piotr przemówił—ale ja lepszym sędzią od waszych krytyków lekkomyślnych jestem, bo ja *doskonale* umiém po grecku, znam również i język nowo grecki, a całego Homera przewartowałem od deski do deski mało sto razy. Porównywałem tłumaczenie Dmochowskiego z oryginałem, i lepszego przekładu co do ducha i wierności w obcych literaturach nie znam!

Żukowski na takie *dictum acerbum* umilknął, Gaszyński zwrócił do innego przedmiotu rozmowę, a *tabaczkowy surdut* wstał i do drugiego pokoju poszedł po nową fajkę.

— Powiedzcie mi (z cicha do mnie przemówił Bronikowski), kto to jest ten krępy, a mało co ładniejszy od naszego *pana Piotra*.

— To *Franciszek Kowalski*, Podolanin, tłumacz Moliera. Musisz przecie znać jego przekład *Skąpca* u Glücksberga i pomniejsze komedye. Wziął sobie za główne zadanie całego przepolszczyć *Moliera*: jak tego dokona, i jak mu się uda, przyszłość pokaże, ale dzielnie umie władać językiem, zwroty dawne i przysłowia sypie jak z rękawa, a wiécie że w przekładach komedyi, są to rzeczy niezbędne. Może chcesz się z nim bliżéj poznać...

— Najchętniéj, bo cenię jego talent—odrzekł Bronikowski.

— Panie Franciszku!—zawołałem, a gdy się zwrócił do nas i zbliżył—to pan Ksawery Bronikowski redaktor Kuryera Polskiego, który chciał was poznać.

Podali sobie ręce przyjaźnie i uścisnęli. Kiedy Kowalski usiadł pomiędzy nami:

— Wczoraj (mówiłem) przyszedł do mnie na fajkę i gawędę, i wiecie jakie gorące życzenie objawił? Oto patrząc na moje firanki u okien, wzdychając smutnie, rzekł do mnie:

— Terazbym niczego nie pragnął, jak tylko żebym firankę miał własną.

— A na cóżby ci się zdała!—śmiejąc się odpowiedziałem; ale on z całą powagą odparł:

— Mój drogi! jakbym miał firankę swoją, to ma się rozumieć i swoje okno, a jak swoje okno to i własny pokoik, a w nim własny stolik do pisania, kilka książek, kochanego Moliera i pieprzowy cybuch, to nicbym więcéj już nie potrzebował. Sprzykrzyła bo mi się włóczęga i bakałarka: teraz ze Szczebrzeszyna przybyłem, ale nie chce mi się tam wracać. Najmiléj mi było u *Cieszkowskich*, i zobaczycie że ten mały i słabowity *August*, to wyjdzie na znakomitego człowieka, aby mu Bóg dał zdrowie i życie. Co to za bujne a rozumne nieraz poloty myśli, a jak on je umie to wyrażać! Przyznam się panom, że nieraz w zadumienie mnie wprawiał, i ja jako pan guwerner drobnego Augustka, w duchu się przed nim korzyłem. Trochę się gniewałem na niego, że nie jest przyjacielem tak gorącym wierszy jak ja!

— Ba!—odrzekłem — rozumny człowiek! On lubi poezye a nie wiersze, a to wielka różnica.

Pan Franciszek się nieco skrzywił, czując do siebie przymówkę, ale nic nie odrzekł, zasłoniwszy oblicze swoje gęstym dymem fajki.

VI.

Ferdynand Chotomski.—Jego album widoków.—Antoni Górecki.—*Pojedynek*, poemat Chotomskiego.—Edward książe Lubomirski.—Enejda trawestowana.—*Kawa pod Kopciuszkiem.*—Kodeks dla „*Towarzystwa nabycia sławy i stopni w możnowładztwie literackiém*“.—przedmowa do Enejdy trawestowanéj, i początek drugiéj księgi.—Ksiądz Andraszek.—Jan Kazimierz Ordynieo.—*Dziennik Warszawski i Dekameron.*—Ludwik Osiński jako Mikołaj Rej z Nagłowic.—Franciszek Grzymała.—Maurycy Gosławski.—*Duma o Nyczaju.*—*Miłość.*—Żukowski.—Józef Bohdan Zaleski.—*Zołotaja boroda.*—*Pieśń kozacza.*—*Roman z Koszyry.*—*Tabaczkowy surdut.*—Ognista miotła.

W niedzielę i święta bywali tu rzadsi goście, którzy z nami codziennie nie odwiedzali téj kawiarni. Przedewszystkiem wspomnę tu o *Ferdynandzie Chotomskim*, poecie humorystycznym, i współpracowniku Brunona Kicińskiego. Piękny to był mężczyzna, i wykształcony. Służył w pułku gwardyi grenadyerów pieszych, i pomiędzy bardzo dorodnymi oficerami, odznaczał się szczególniéj. Wysokiego wzrostu, udatnéj i składnéj postaci, oblicze więcéj pociągłe, męzkie, regular-

nych rysów, zawsze wesołe i uśmiechnięte. Oczy czarne, pełne życia i ognia. Cała jego postawa była tak okazała i powabna, że każda z kobiét słodko nań spoglądała. Nie dziw, że miał wielkie pomiędzy niemi powodzenie. Jako porucznik gwardyi, wziął dymissyę w stopniu kapitana, i długo wojażował po Europie. Oprócz talentu do *poezyi*, jak wówczas zdolność wysoką do pisania wierszy nazywano, rysował bardzo pięknie i celował w akwarellach. Głównie zaś poświęcał się zbieraniu widoków, bo był pejzażysta nie pospolity. Zbiór złożony z kilkuset widoków zamków, pałaców i ruin historycznych ofiarował do Puław.

Kiedy w roku 1818 Bruno Kiciński założył czasopismo literackie: „*Tygodnik polski i Zagraniczny*," *Antoni Górecki* poeta w całém znaczeniu tego słowa, który świeżym myślom umiał dawać nowy przystrój godowy, po mistrzowsku władając dzielnym językiem, podparł go silnie. Najwięcéj tworzył przy robotach fortecznych Modlina, gdzie był wykomenderowany do ich dozoru. Siedząc na usypiskach wysokich wałów, spoglądając to na niebieskie wody *Narwi*, to na białe *Wisły*, które tu się łączą razem, przy ich szmerze rzucał na papier swe wrażenia i uczucia. Przy nim stanął zaraz Chotomski, co nie mało téż dopomagał utworami swojego pióra. Wielki mu w świecie literackim i w salonach warszawskich zrobił rozgłos w czterech pieśniach: *pojedynek—poema* jak go sam nazwał *komiczne*, bo wyrazu *humor* nie znaliśmy jeszcze wówczas, i dla nikogo nie byłby zrozumiały. Treścią jego jak pomnę był spór *szambelana* z pułkownikiem o wyższość blondynek nad brunetkami, wyzwanie na pistolety, wyjazd do *Jeziorny*, jako do miejsca uprzywilejowanego na tego rodzaju walkę; dwa strzały na szczęście *spudłowane*, w ostatku zgoda serdeczna i podanie sobie ręki.

Takie to drobne pobudki i spory bywały powodem do pojedynków, nieraz smutno i boleśnie zakończonych. W pojedynku zginął przed kilku właśnie laty powszechnie żałowany w samym kwiecie wieku książe *Edward Lubomirski* założyciel *Instytutu Oftalmicznego* w Warszawie. Znakomity był to talent, a jego pismami zachwycałem się będąc jeszcze studentem. *Dumy rycerskie* podnosiły i zagrzewały ducha, przywiedzeniem wspomnień przeszłości. *Obraz Wiednia* był piérwszém dziełem z głęb-

szym poglądem, a porywał nas jego przekład *Fausta*, tragedyi w pięciu aktach *Klingemana*. Kiedy padł ugodzony kulą śmiertelnie w dwudziestym siódmym roku życia, w kilka lat po jego zgonie Edward Raczyński wydał jego: *Rys statystyczny i polityczny Anglii*. Spór poszedł o drobnostkę. Lubomirski na *balu ubogich* w salach ratusza naszego miasta, rozpoczął w piérwszą parę poloneza z sędziwą wojewodziną Gutakowską, która oprowadzona przez salę, prosiła go ażeby spocząć mogła. W téj właśnie chwili oficer gwardyi strzelców konnych *Grocholski* klasnął w ręce *odbijanego*, ażeby z wojewodziną stanąć w piérwszéj parze; Lubomirski przeprosił go i zawrócił do krzesła dla niéj przeznaczonego. Grocholski uważał to za *afront* zrobiony sobie i to w obec tak licznéj publiczności, wyzwał więc na pojedynek. Lubomirski strzelał celnie, ale na komendę sekundantów, gdy razem mieli strzelać do siebie, zmierzył przeciwnikowi w nogi i trafił, ten zaś ugodził go w bok a kula głęboko zagrzęzła. Wieść o tym pojedynku żywo poruszyła nasze miasto, Lubomirski po kilku dniach męczarni skonał. Wszyscy czuli niepowetowaną stratę w młodym a tak zacnym i takich zdolności poległym. Opinia publiczna ostro się wyraziła na tego, co pasmo dni Lubomirskiego skrócił, ale i on biedak nie miał spokoju we własném sumieniu.

Chotomski uderzył śmiało na ten zwyczaj rozpowszechniony wówczas pomiędzy młodzieżą naszą, a pokryty powagą *rycerskiego prawa* wyzywania się o byle drobnostkę na pojedynek. Dawniéj mniéj były śmiertelne, gdy spotykano się na pałasze, kiedy nawet i wtedy wymawiano jeszcze cięcia w głowę i pchnięcie *sztychem* w brzuch i piersi, czego pilnie sekundanci strzegli. Teraz szable zastąpiły pistolety, i pojedynki bywały nieraz prostém morderstwem, w których zręczność i zimna krew miały wielką przewagę.

Chotomski poema swoje komiczne napisał strofami na wzór Krasickiego, z niego pojedyncze ustępy umieliśmy na pamięć, w których piękna i zacna myśl jaśniała. W te bowiem czasy mało dzieł wychodziło, to téż każde kilkakrotnie się czytało, a z upodobańszych robiły się wyciągi lub uczono się na pamięć. Równocześnie z tym *pojedynkiem* rozpoczął trawestowanie *Enejdy Wirgiliusza* i zdaje mi się początek *piérwszéj księgi*

w tymże Tygodniku Kicińskiego wydrukował. Był on przed kilku laty *inspektorem szkół* w Kielcach, gdzie go, przyszedłszy pieszo do tego grodu, przy zbieraniu pieśni i podań ludowych bliżéj poznałem. Już był żonaty pracował ciągle, a co mnie dziwiło, że palił dużo i zażywał niemniéj tabakę. Tu gdym ciężką chorobą był złożony, doznałem od tego zacnego człowieka prawdziwie przyjacielskiéj pomocy. Teraz od paru lat pełniąc też same obowiązki, zamieszkał w Warszawie i właśnie tylko co wydał w jednym czy w dwóch zeszytach: „*Opis ptaków Królestwa Polskiego*“ do których tak tekst jak i ryciny sam wykonał na kamieniu litograficznym.

Całe nasze kółko zebrane radośnie powitało pana *Ferdynanda*. Posadziliśmy go na najwygodniejszym, choć starym i nieco obszarpanym fotelu.

— Rzadki z was tu gość!—rzekłem do niego.

— Prawda! prawda! proszę fajki!—zawołał. Pamiętam (mówił ze zwykłym sobie uśmiechem) kiedy kawiarnia w Warszawie była *rarogiem*. Piérwsza jaka się zjawiła tu była za *Saskim ogrodem Majerhafera*, któremu przy końcu panowania August III mały plac darował. Wdowę jego starowinę znałem, znał ją i Kiciński. Skromna to była kawiarnia, dwie małe i nikczemne izdebki, ale że były jedyne w swoim rodzaju nie zbywało na odwiedzających. W kilkanaście lat potém wsławiły się dwie porządniejsze kawy: *Nejbertowéj*, w domu przy drodze do *Łazienek królewskich* i *Kolsonowéj* przy *Wolskich* rogatkach. Ale rzeczą wcale nową była *kawa pod Kopciuszkiem*, bo to kawiarnia literacka, zawsze pełna, jako wśrodku miasta położona. Miałeś w niéj uorganizowane towarzystwa grających, ale poważne grono stanowiło czytających i rozprawiających. Bywało w niéj wielu takich zwolenników kawy, że mogłeś ich uważać jako niezbędne sprzęty domowe; o któréjkolwiek godzinie pod *Kopciuszka* zajrzałeś, od ósméj z rana do dziewiątéj w wieczór, zawsze ich znalazłeś na wybranych stale miejscach, które uważali już za swoje dziedzictwo. Aj! żeby tam był zajrzał jaki malarz z ołówkiem *Orłowskiego*, jakiżby bogaty zbiór zgromadził karykatur i typowych figur, które coraz więcéj znikają. Wiecie o poważném towarzystwie *Ixów*, co berło krytyki teatralnéj dzierżyli w swém ręku, owoż tu znajdo-

wałem i poplecznikow ich i przeciwników, co ostre, pełne zapału staczali walki. Pamiętam że mało do załebków nie przyszło o tłumaczenie *Mahometa* Woltera. *Ixowie* chwalili i ich stronnicy, przeciwny obóz zarzucał niewierność oryginałowi. Ale nie zapomnę jak na jedno zebranie liczniejsze przyniósł jakiś dowcipniś projekt ustawy dla towarzystwa, którego celem ma być *„nabycie sławy i stopni w możnowładztwie literackiém.“* Nie zapomnę (mówił podnosząc głos pan Ferdynand i puszczając gęste kłęby dymu z fajki) nigdy, jak autor tego projektu oddawszy czołobitność zgromadzeniu, przemówił deklamacyjnym jakby z kazalnicy głosem:

— O wy! którym najwyższe przeznaczenie dozwoliło wejść na stopień uprzywilejowanych uczonych, pomnijcie na to, że w was jedynie polega skład prawdziwego światła! Wy możecie je podług woli w cudzych mózgach wzniecać lub gasić. Wasze tchnienie może i niemą bryłę ogniem geniuszu ożywić, a geniusz w proch obrócić. Wy wiecie wszystko co jest, co było, co będzie. Starajcie się zachować to monopolium rozumu, które wam lata zasług zdobyły. Zatrzymajcie i zostawcie je jako najświętsze dziedzictwo potomnym, których z grona światowych wybrać raczycie. Niech zawsze hasłem waszém będzie: *„Nul n'aura de l'esprit que nous et nos amis.“*

„Niech nie poświęconym nie będzie wolno bezkarnie mieć talenta i starać się o wyższą doskonałość. Tym tylko pozwólcie używać rozumu, którzy was na klęczkach żebrać o to będą, którzy przysięgną zachowywać we wszystkiém przepisy wasze, których jedynym zamiarem będzie zarabiać na korzyść waszą.“

Osiński na te słowa zmarszczył się i jakoś mu kawa choć zawsze wyborna, mniéj smakowała; Żółkowski tak poważną minę nastroił, że Brodziński brał się za boki, a my wszyscy mało ze śmiechu nie popękali. Po przerwie znowu zaczął deklamować nasz projekcista:

„Wiadomo światu że dla dobra i spokojności powszechnéj, najlepsza forma rządu jest, gdy jeden stan wybranych rządzi drugiemi. Z tego to powodu kasujemy rzeczpospolitę literacką. Odtąd władza w państwie naukowém w naszém gronie spoczywać będzie. Ażeby zaś zapewnić tę przewagę, składam wam już gotowy *kodeks literacki.*

Nagle Chotomski urwał.

— Może was znudziłem?—zapytał.

— Ale nie! prosimy daléj! daléj! kończ rzecz swoją—zawołaliśmy zgodnym chórem.

—Owóż macie główne tego prawa artykuły!—i zaczął na palcach wyliczać: *Po pierwsze. Przedawnienie* (*praescriptio*) czyli sposób utrzymywania się bez zasług na stopniu literata. Kto posiada ten sekret, kto umie łudząc publiczność obietnicami złotych gór, kto danemi wyjątkami uczyni nadzieję wielkiego dzieła, nie myśląc wcale o pisaniu jego: taki ma prawo żądać przypuszczenia do naszego grona. Próżnoby jaki śmiałek chciał mu zaprzeczać stopnia literata. Dość jest uchodzić za uczonego aby być uczonym.

Powtóre. Dedykowanie dzieł swoich. Ktoby się odważył zganić rzecz któremu z nas poświęconą i naszém zaszczyconą imieniem, na takiego przeznacza się kara, jak za naruszenie pieczęci rządowéj.

Po trzecie. Ofiarowanie (*donatio*) pisma swego na jaki chwalebny instytut. Pisarz dzieło swoje tak poświęcający, choćby był najmierniejszym, stawia się pod tarczą *moralności* i zganionym być nie może.

Po czwarte. Kupno i sprzedaż (*emptio et venditio*). To rozumiéć się ma dwojako: albo kupuje się cudze dzieło i udaje za swoje, albo kupuje się cudza pochwała, a to albo wzajemnością, albo monetą kurs w kraju mającą.

Po piąte. Zapis (*testamentum*) to jest przez pośmiertne dopiéro wydanie dzieła swego i zlecenie wydania jego jakiemu znanemu w literaturze mężowi, którego imie solidarnie wtedy za dobroć dzieła odpowiada.

Po szóste. Usus fructus użyteczne dzieł czytanie. Ten sposób dzieli się na *szczególny* (*singularis*), gdy autor z wielu dzieł jedne swoje sklei i na *powszechny* (*universalis*), gdy ogólnie cudze dzieło uda za swoje.“

Ogólny poklask był podzięką za ten kodeks i zarazem zgodą na jego przyjęcie. Kiedym się obejrzał, krzesło Osińskiego było próżne: wyniósł się cichaczem; Dmochowski z Lisieckim chichotali na boku, a Żółkowski oświadczył, że z góry podpisuje ten kodeks.

— Kto to był, co to prawo wymyślił?—zapytał Żukowski.

— Nie wiem—z uśmiechem odrzekł Chotomski.

— Kto autorem? kto autorem?—pytają mnie razem Bronikowski i Gaszyński.

— A któż inny jak sam Chotomski, któżby zapamiętał tak dobrze wszystkie szczegóły?

— To pan majster jest dobry, kiedy na takie zdobywasz się majstersztyki?—dorzucił Kowalski.

— To nie ja! to nie ja!—mówił Chotomski, ale na obliczu jego malowało się wewnętrzne zadowolenie.

— Albo to prawda—rzekłem do niego—trąb w kułak i mów wiwat!

— Jakże tam idzie Enejda trawestowana?—pyta Gaszyński—który w *Jaxajdzie* współzawodniczył z poematami komicznemi Chotomskiego. Ta jednak wielka pomiędzy nimi była różnica, że gdy piérwszy wyszydzał znaną osobistość, drugi dotykał tylko ogólnych grzechów społeczności, a figury nieznane wprowadzał do swego dramaciku, bo te były niezbędne.

— Enejda moja?—odrzekł Chotomski—już prawie skończona.

— Czekamy na nią z upragnieniem!—zawołał Kowalski.

Nagle od okna zabrzmiał głos nam dobrze znany *tabaczkowego surduta:*

— Kpijcie sobie z Enejdy Wirgiliusza, on sam nie wiele ją cenił, kiedy przed śmiercią chciał spalić. Ale wara! od starych Greków! Mieszczuchy rzymskie, boć przecie wiecie że narodu rzymskiego nie było na świecie, siłą pięści i rozboju jak za naszych czasów Krzyżacy, wytworzyli państwo i zostali *małpami* podbitéj Grecyi. Zaprawdę powiadam wam, że dziesięć razy można trawestować czyli po polsku *przenicować* Enejdę, ale zjesz dyabła, jeżeli chociaż tak grzeszną myślą dotkniesz majestatycznego Homera. To posągowa postać, do którego stóp nie doleci żadna strzała szyderstwa!

To wymówiwszy powstał i opuścił kawiarnią.

Chotomski który już trzecią czy czwartą fajkę wykurzył, zwracając się do mnie, do Kowalskiego i Gaszyńskiego—rzekł wtedy:

— Chodźcie do drugiego pokoju, to wam przeczytam do Enejdy moją przedmowę, którą wczoraj napisałem.

Poszliśmy za nim wszyscy, a on stanąwszy przy oknie w głos zaczął:

„Oto macie Eneasza!
Miał to być rycerz nie lada,
Do miłostek i pałasza,
Jak sam o sobie powiada.
Ptaka można poznać z pierza,
Człeka dworskiego z kontusza,
A zaś naszego rycerza,
Że był sobie *dobra dusza!*
Losy go ścigały srogie,
A było to z jego winy,
Bo lazł zawsze ludziom w drogę,
Obce zwiedzając krainy.
Bądź co bądź! dawnemi laty
Zyskał sobie dobre imie,
I umarł bardzo bogaty,
Pono w *Latium* czy też w Rzymie.
A przytém, moi panowie,
Kto dzieje jego przeczyta,
Niechaj mu służy na zdrowie!
To życzy autor i kwita!“

Poklasnęliśmy mu wszyscy, a Chotomski kiwał głową z uśmiechem, zadowolony na wszystkie strony.

— Kochany panie Ferdynandzie!—rzekłem do niego— czy niemacie, albo czy nie pamiętacie początku księgi drugiéj *Enejdy*. To tak ulubiona była dla naszego u Pijarów profesora księdza Andraszka...

— Tęgi filolog!—przemówił Kowalski—znam jego wydanie krytyczne pieśni naszego *Sarbiewskiego*. Słyszałem że pracuje nad gramatyką języka łacińskiego.

— Nietylko tęgi filolog, ale zacny, poczciwy i ukochany professor!—dodałem. Bywało krzyk i wrzawa w klassie, ale na głos *„idzie ksiądz Andraszek!“* wszystko już było na swojém miejscu, cicho, jakby makiem zasiał. Nasz professor wiecie jaki otyły, chociaż dobrego wzrostu przychodzi zawsze zadyszany, siada na katedrze i oddycha chwilę. Na jego obliczu tłustém,

czerwoném, wyraz dobroci i łagodności rozlany; zażywa raz, drugi, tabakę i zaczyna lekcyą. Uczyliśmy się téj drugiéj księgi Enejdy na pamięć, a com się namęczył, zanim się nauczyłem skandować tak jak chciał ksiądz Andraszek, zacząwszy od tych dwóch piérwszych wierszy rozpoczynających tę księgę:

Conticuere omnes, intentique ora tenebant,
Inde toro, pater Aeneas, sic orsus ab alto!

— Otóż posłuchajcie, jeżeli chcecie mego tłumaczenia— przemówił Chotomski.

— Prosimy! prosimy.

Zaczął przeto deklamować z pamięci.

Naraz umilkli wszyscy rozdziawiwszy gęby,
A Enej z góry *altem* rzekł do nich przez zęby:
„Infantko!
(Bo jest w oryginale *Infandum*).
chociaż może na śmierć się zapłaczę,
Jak mi każesz, jak zagrasz, tak ci i zaskaczę!
I powiem jak przez smutny i srogi *certamen*,
Greki nieszczęsnéj Troi, uczynili *amen!*
Widząc że źle bój idzie, co nas w końcu czeka,
Byłem tam i na wszystko patrzałem z daleka.
Mirmidony, *Dolopy*, Ulisa żołnierze,
I wam choć twardéj duszy, na szlochy się zbierze!
Już téż i noc wilgotna przerzadzała cienie;
Gwiazdy jak po kąpieli, morzyło uśpienie,
(Tylko proszę nie uciąć drzymki za ich śladem,
Gdy jak z katedry Troi zajmę się wykładem).
Okropne to wspomnienie! aż się serce kraje;
Zacznę, ale nim zacznę, jak ongi *danaje*,
Skroili nam porządnie, kapoty na fraczki,
Za pozwoleniem pani, zażyję tabaczki;
Albanka myśl ożywia i koncepta tworzy,
Jak nieraz doświadczałem i twierdzą doktorzy,
Co byli wzwyczajeni zażywać tabakę,
Że nawet i choroby leczy wielorakie,
Ale wróćmy do rzeczy! Widząc Grek uparty,
Że wziąść *Ilium* nie fraszka, ani żadne żarty;
Za dyabelską poradą Jowiszowéj córy,
Wystawili z jedliny szkapę nakształt góry.“

I daléj po swojemu przerobiwszy wymowny obraz dramatyczny upadku Troi, już był w większéj połowie téj księgi, gdy

się drzwi roztwarły i weszło kilka nieznajomych postaci do kawiarni, a za nimi mały i nieco pękaty poczciwy *Jan Kazimierz Ordyniec* redaktor *Dziennika Warszawskiego*. Chotomski przerwał swoją deklamacyę i wraz z nami przesunął się na powitanie przybyłego, którego wszyscyśmy lubili wielce.

— Cóż, panie Kazimierzu?—zapytałem—czy nie myślicie o wskrzeszeniu poważnego waszego *Dziennika*, jak to mieliście na myśli?

— Trudna, mój kochany, sprawa—odrzekł Ordyniec—miałem wszystkiego *162* prenumeratorów w przeszłym roku, to nie wystarczało na najskromniejsze wydawnictwo, musiałem *Dziennik* zamknąć a i mój *Dekameron* co go zastąpił ledwo dycha także. Widzę tu kilku współpracowników *Dziennika* i korzystam, ażeby wam szczerze i serdecznie podziękować za pomoc jakąście mi zawsze chętnie dawali, tak przyjacielsko i bezinteresownie, bo wam nigdy ani grosika złamanego nie płaciłem i honorowałem tylko egzemplarzem.—Dziękuję tobie najprzód (mówił rozrzewniony i zwracając się do mnie ściskając dłoń moją), tyś najdawniejszy i najhojniejszy współpracownik *Dziennika*, potém tobie panie *Ferdynandzie* i tobie panie *Franciszku*. I zwrócony do Chotomskiego i Kowalskiego podał im ręce do uściśnienia.

Ta scena skwasiła nam nieco dobry humor. Zbliżyłem się do niego i z cicha szepnąłem:

— Czy nie znasz Gaszyńskiego?

— Nie znam.

— A to was zapoznam bliżéj, to poczciwy chłopak. Konstanty! —zawołałem dobitnie—morderco *Dekamerona*, zbliż się i uderz czołem przed jego redaktorem! On wtenczas był redaktorem, kiedy ty jak Morawski pisze:

„Jeszcześ był w jajku
Mały hultajku.“

Roześmiał się poważny Ordyniec, a Gaszyński ze szczerą otwartością pozdrowił go serdecznie.

Nieznajomi goście opuścili kawiarnię, zostało tylko samo nasze grono przyjaciół i znajomych dobrze. Przenieśliśmy się więc do piérwszego obszerniejszego pokoju i usadowili wygodnie.

— Idąc do was — odezwał się piérwszy Chotomski—spotkałem Osińskiego i uśmiechnąłem się pomimo woli, gdym go sobie wyobraził jak to on musiał wyglądać tak wygolony gładko, przebrany za *Mikołaja Reja z Nagłowic.*

— Co! — zawołałem śmiejąc się głośno—pan professor *literatury porównawczéj*, mógłże udawać taką olbrzymią postać. A toć to był chłop jak dąb rosły, głowa jak pudło, a twarz z pół łokcia długa z ogromnie pociągłym nosem i wąsami. Możecie sobie wystawić stuturę Reja, kiedy zjadał, jakby cukierek *Lesłowski* przełknął, ćwierć śliwek, gęś całą i popił to dwoma garncami piwa napół z drożdżami, to było jego drugie śniadanie. Ale gdzież to udawał i przedrzeźniał Osiński pana Mikołaja z Nagłowic?

— Na sutym wieczorze przed czterema czy pięcią laty u hrabiostwa Kostków Potockich na imieniny Niemcewicza. Panowie i panie przybrani w kostiumy stosownie do opisu w jego powieści *Jan z Tęczyna*, przedstawiali jednę scenę, a Osiński wchodzącego poetę jako Rej z Nagłowic, wierszem powitalnym przyjmował na progu sali.

— Piękny to musiał być widok—rzekł Gaszyński—szkoda żem go nie widział.

— Może już przez całe swe życie nie to, ale nawet choćby coś podobnego nie zobaczysz mój Konstanty!—wymówiłem z westchnieniem. Słowa te były jakby prorocze.

W téj dobie na progu we drzwiach kawiarni ukazała się postać jakaś niska, tłustawa i krępa.

— Witamy kochanego pana Franciszka! — wyrzekł z uśmiechem zwykłym Chotomski podając mu uprzejmie rękę.

— A! szanownego redaktora — i ja zawołałem, poznawszy po pełnéj twarzy ospowatéj Franciszka Grzymałę.

Był to niepospolity publicysta, wielkich zdolności, ale straszny próżniak. Zaczął wydawać w roku 1821 w Warszawie *Sybillę* dwutygodnik polityczno-literacki, następnie *Astreę*, któréj wyszło cztery tomy i parę zeszytów piątego. Prenumeratorowie krzyczeli i narzekali na nieregularność wydawnictwa, ale chętnie czytali oba pisma, bo się odznaczały artykułami doborowemi i trzeźwym na rzeczy krajowe poglądem.

Wszyscyśmy prawie dobrze Grzymałę znali, to téż rad sobie usiadł pomiędzy nami i prowadził gawędkę [1]).

Cisza chwilowa zaległa kawiarnią, gdy niespodzianie drzwi się roztwarły: wszedł naprzód *tabaczkowy surdut*, a za nim młody dorodny mężczyzna mogący mieć około lat dwudziestu kilku, pełen życia i ruchliwy! Twarz więcéj okrągła, nos ściągły, oczy w podłużnéj oprawie, wzrost dobry, włosy bujne. Na obliczu malowała się szczerość i dobroć, oraz niepospolita intelligencya, ale zarazem jakiś rzewny smutek. *Tabaczkowy surdut* wprost go zaprowadził do Bronikowskiego i przedstawił mu.

— To *Maurycy Gosławski*—wyrzekł krótko i węzłowato.

Widać że o nim z sobą poprzednio mówili, bo Bronikowski powstał i ścisnął dłoń jego życzliwie.

— Kto to? kto to?—zapytał mnie z cicha Chotomski.

— Poeta Gosławski—odpowiedziałem— przed dwoma laty drukował swoje poezye w jednym tomiku w Warszawie...

— A ja poprzednio — dodał Ordyniec — drukowałem w *Dzienniku Warszawskim* piękną jego dumę o *Nyczaju*.

— Pamiętam dobrze jéj początek—i zacząłem:

„Stepy, lasy na około,
Na około straszno, ciemno!
Ha! i w duszy nie wesoło,
To i we mnie, co przedemną!“

— Szkoły odbywał w Winnikach—mówił daléj Ordyniec— tam już dał się poznać z pociągu do wierszy, których się jego koledzy uczyli na pamięć. Zdaje mi się że jest rodem z Podola. Wyszedłszy ze szkół skruszył pióro, ale nad *Zbruczem* poznał uroczą piękność i szalenie się rozkochał. Szlachetna ale nieszczęśliwa miłość zrobiła z niego, jak z Karpińskiego i Mickiewicza, poetę. Przed dwoma laty bawił w Warszawie, zapraszany do Wincentego hr. Krasińskiego był u niego na kilku obiadach, a ujęty gościnném przyjęciem, gdy drukował swój zbiorek poezyi, przypisał mu go. Nie wiele się rozbiegło z téj

[1]) Franciszek Grzymała mieszkał późniéj przez lat wiele w Paryżu, i w czasie oblężenia w 1870 r. téj stolicy, w sędziwych latach z głodu umarł.

edycyi, bo Gosławski całe wydanie spalił potém w obec kilku swoich przyjaciół. Wtedy to poznałem tę zacną duszę przepełnioną najszlachetniejszemi uczuciami. Często zapadał w melancholijne zadumanie, bo ze swéj miłości nie mógł się wyleczyć jeszcze, a myśl jego przykutą była do *drobnych stopek* zachwycającéj dziewicy, jak mi mówił jeden z jego bliższych przyjaciół. W poemacie *Podole*, co wydrukował w owym tomiku w czterech pieśniach, w *drugiéj* masz (i zwrócił się do mnie) ze szczegółami opis gminnego wesela na Podolu. Ważne są tam i przypiski.

— Znam dobrze ten tomik—mówiłem do Ordyńca—udało mi się schwytać przed spaleniem egzemplarz i pamiętam ustęp z jego wiersza: *Miłość*.

Bolesne dni moich dzieje,
Stoją w zapłakaném oku!
Widziałem méj młodości olbrzymie nadzieje,
Jak konały przy jéj boku.
Choć otwarta była przepaść,
Ona wiodła! mógłżem nie paść?
Chwile piękne! chwile lube!
Wy! których mnie wspomnienie zachwyca i mami,
Niechaj patrząc obecny na waszą zagubę,
Raz jeszcze westchnę nad wami!
Raz jeszcze nim zniszczenia zagarnione falą,
Zaginą obrazy wasze.
Te ognie nie pożyte co mi duszę palą,
Strumieniem łez mych zagaszę.
Naprożno! uniesione bezpowrotną rzeką,
Znikły gdzieś pochłonione daleko... daleko!
I dusza cierpień nie syta,
Wyrywa się za niemi w tamte drogie kraje,
I oko tam przybite, i myśl tam przybita,
Odjąć się ztamtąd nie daje.
I gdy przyjdzie noc wieczna zamknąć mi powieki,
O! jeszcze będę patrzał na tę lubą stronę,
I ostatnie spojrzenie nad nią zawieszone,
Nad nią, zostanie na wieki!“

W miarę jakem deklamował, z początku z cicha, zapaliwszy się, głos coraz podnosiłem i ostatnie zwrotki tak huknąłem, że się *tabaczkowy surdut*, Bronikowski i Gosławski zwrócili ku

mojéj stronie. Dwaj ostatni coś poszeptali z sobą i zaraz Bronikowski przedstawił mi autora *Podola*.

— Słyszałem jakby znajome sobie wiersze—wyrzekł do mnie Gosławski.

— Nieinaczéj mój *Maurycy*—odpowie Ordyniec—bo przecież to twoje własne.

Gosławski w pomroku wieczornym nie spostrzegł dobrze sobie znanego redaktora, to téż powitał go radośnie.

Żukowski który po swéj gorącéj rozprawie o krytykę *Maryi* Malczeskiego wyszedł z kawiarni, w téj chwili wbiega napowrót i mówi zmęczonym głosem:

— Zatrzymajcie się bo idzie nasz *Bohdan* i niesie nowy utwór *Padurry*.

— Co to za Padurra?— pyta Gaszyński.—A z pod okna zabrzmiał głos *tabaczkowego surduta*.

— Alboś nie słyszał to, kiedy w lisi ogon trąbiono?

— Mój Konstanty—szepnąłem mu na ucho—nie odezwijże się z tém znowu przy Zaleskim, boby cię miał za *baj-bardzo*. Jakto! ty nie wiesz kto jest Padurra?

— Niewiadomość grzechu nie robi, ale jak Boga kocham nie słyszałem o jego nazwisku!—odpowiedział mi w uniewinnieniu.

— W przedostatnim przecie tomie *Dziennika Warszawskiego*—dodał Ordyniec—drukowałem jego dumkę *Zołotaja Boroda*, napisaną na cześć Emira Wacława *Rzewuskiego*, którego u nas *turkiem* nazywano, bo chodził we wschodnim stroju.

— Mylnie tylko—mówiłem do Ordyńca—podpisałeś imię Padurry, bo *Józef* to brat najstarszy w ich rodzinie, a pisał ją Tymko. Przypominam sobie téj dumki początek:

„Wzletiw oreł na dubrowi
Po pid sońcem witer hnaty,
Pryszła dumka kozakowi
Staru piśniu zaśpiwaty.“

Ledwiem tych słów domówił, gdy na progu kawiarni ukazał się *Józef Bohdan Zaleski*. Nie znałem go dotąd, byłem więc wielce ciekawy ujrzeć go i sprawdzić, czy téż odpowie postacią swoją, mojéj wyobraźni o nim. Wyobrażałem go sobie

albowiem średniego wzrostu, smagłego, ale chudego z obliczem bladém, oczy niebieskie wypukłe, lniane włosy, słowem w całości oglądałem urok petyczny, a gdy mówił, jakiś melodyjny głos, jak jego dumki. Można wystawić sobie moje zadziwienie, gdy na głos Żukowskiego, Ordyńca, Bronikowskiego i Gaszyńskiego: *A! pan Bohdan!* zobaczyłem mężczyznę niskiego wzrostu, szatyna z okularami i pulchnego a jak na oko dobrze podpasionego, słowem postać starego klassyka, bo w zmniejszonym formacie przedstawiał Ludwika Osińskiego.

Poczciwy Ordyniec wnet mnie z Zaleskim zapoznał, który zaledwie że się przywitał, zaraz zawołał:

— Chodźcie-no panowie! przeczytam wam nowy utwór naszego kochanego Padurry! Kiedy jakąkolwiek czytam jego dumkę, zdaje mi się że znów jestem w chacie ukraińskiego chłopka na stepie, że oddycham balsamiczną wonią co ją wiatr nanosił, że słyszę owe piosenki co mnie do snu kołysały i ten język tak melodyjny, tak śpiewny! Ordyniec zaczął na ton właściwéj melodyi deklamować:

„Hej kozacza, w bożyj czas!
Wże hołosyt w cerkwi dzwin,
Komu sława myła z was,
Za proklatym na zdohin,
Hej! kozacza, na wraha!
Hurraha! hurraha!

Tutky hory a tam staw,
Chrabryj synu kudy shocz?
Czerez wodu można wpław,
Czerez hory pereskocz!
Daléj dity na wraha,
Hurraha! hurraha!

Zbēraj koniu kopytom,
Chotiaj pina potecze,
Ja zaklaw sia korolom,
Szczo Tataryn nēwticze,
Szczo zjuszyt sia rid wraha,
Hurraha! hurraha!“

A gdy deklamował z niezwykłym zapałem, maleńka postać Ordyńca, w naszych oczach rosła i olbrzymiała.

— Co tu u nas porabia Bohdan i dlaczego tak rzadko go widzieć można?—zapytałem Żukowskiego.

— A bo on—odrzekł—mało ma czasu wolnego, zajmuje się bowiem guwernerką u pułkownika *Szembeka*.

— Ale ma czas—szepnął z cicha stojący za nami Kowalski—odwiedzać panny i rozmarzać ich młodociane serduszka swemi poezyami.

— No! co prawda to nie grzech, bogata panna czytając jego dumy i dumki rozkochała się i może nie długo nasz Bohdan stanie na ślubnym kobiercu ze swą powabną *rusałką*.

Mówił to nam na ucho Żukowski przytłumionym głosem.

Tymczasem Bohdan stanął przy stoliku, my wszyscy otoczyliśmy go wieńcem, a on dobywszy rękopismu zaczął:

„Roman z Hoszyry."

Muszę was objaśnić – mówił—że to jest R. ks. Sanguszko, jeden z bohatérów doby Zygmunta Augusta, który umarł w młodym wieku, bo zaledwie miał 34 lat; poczem dźwięcznym głosem zadeklamował całą *dumę* w oryginalném narzeczu, jak napisał ją Padurra. Pomnę tylko piérwszą strofkę w tém narzeczu, ale treść cała żywo mi się w pamięci wyryła.

Poeta zaczynał od opisu nocy.

„Noc była ciemna, a wiatr z pól szerokich z liściem w doliny toczył czarne chmury; niekiedy księżyc z pod niebios wysokich liczył nad Bohem hordy tatarskie.

„Z miasta *Winnicy* co niegdyś zamożne po wyspach zamki budowało, a samo na górach jak wianek rozpięte, kwitło sadami i bogactwy, zrobiła puszczę orda bisurmanów. Krew ciepła lała się za kłębami dymu, a lud nieszczęsny dla *Mirzów i Hanów* po *Czarnym Szląsku* aż do Krymu popędziła.

„Jeszcze się toczył po jarach mglisty tuman, kiedy od *Uły*, czarnego rycerza kary koń, jako wiatr puścił się w pola rozkoszne, w pogoń za lotnym Tatarem! Król zwycięzcę przyjmował w murach Lublina, który wprowadził okutych pohańców uwolniwszy z Jassyru mnóstwo zabranych z wsi, miast i dworów szlacheckich niewolnika."

Chotomski, Gaszyński i Bronikowski nie wszystko zrozumieli, to też i wrażenia jakiegośmy z Ordyńcem i Kowalskim doznawali, nie mieli. Bohdan niektóre strofki z upodobaniem powtarzał dwukrotnie, aby nam w pamięć lepiéj wrzepić i nie bawiąc się dłużéj, spojrzał na zegarek i z Żukowskim wyszedł a za nimi całe nasze grono.

Zostałem sam, mrok już padł dobry; wniesiono świece. Z niemałém podziwieniem mojém zobaczyłem że siedział przy oknie *tabaczkowy surdut*. Wsparł głowę na ręku, a łzy perliły mu w oczach.

Usiadłem z dala i spoglądałem nań w milczeniu. Po krótkiéj chwili zwrócił na mnie oczy i nie wiem co wyczytał z mego oblicza, bo z niezwykłą uprzejmością i głosem pełnym rzewności przemówił:

— Widziałem, żeś każde słowo naszego poety zrozumiał i pojął, to też młody druhu nie dziw się i łzom moim! Nie wstydzę się téj *rosy serca*, jak je pięknie poczciwy nasz lud nazywa. Miałem ojca dzielnego wojaka, siłacza wielkiego; w boju nie znał litości, ale w obec kobiéty lub dziecka płakał razem z nimi, a gdy w starym już wieku usłyszał piosnkę żołnierską, albo taką przy któréj zasypiał w kołysce, to się zalewał jak bóbr rzewnemi łzami. I ja mam jego naturę. Ach! ta duma Padurry poruszyła wiele strun mego serca: te które zadźwięczały boleśnie i jękliwie jak eolska arfa, czytając *Fragment* Korzeniowskiego, już są zerwane na zawsze, niczyja nie dostroi ich ręka. Pamięć o nich upowiłem w gorącą modlitwę w kościele i złożyłem do grobu na wieczny odpoczynek. Dla nich żałobna pieśń *requiem*, bo radosnego *alleluja* nie posłyszą nigdy. Ale inne struny sercowe dumą Padurry zadrgały, one odżywiają zwątlałe siły, i martwieją tylko wraz z umarłém ciałem.

Wstał i piérwszy raz podał mi rękę swoją: uściskałem ją serdecznie. Łzy ciągle błyszczały mu w czarnych oczach.

Wyszedł powolnym krokiem.

Usiadłem, dumałem, jak długo nie wiem. Roztrzeźwił mnie rozgłos z sieni, a następnie gwar kilku nieznajomych wchodzących do kawiarni: opuściłem ją więc co prędzéj.

Był to wieczór, wiater mroźny poświstywał i czasami drobne płatki śniegu nanosił. Na *Miodowéj* ulicy był zwyczajny ruch i turkot dorożek i pojazdów.

Zaledwie pominąłem mury pałacu *Teppera*, przy murze klasztornym spojrzałem w niebo.

Ciemne chmury bałwaniły, ale ponad kościołem Pijarskim horyzont był czysty i jasny, a na tle jego lazurowém ukazała się ogromna miotła ognista.

Stanąłem i z przerażeniem spoglądałem na to zjawisko, gdy w tejże chwili uczułem ciężką rękę na mojém ramieniu. Obejrzałem się: stał przy mnie *tabaczkowy surdut*, trzymał mnie za ramię lewą ręką, a prawą wskazując ognistą miotłę, którą zwolna chmura przejrzysta lekko przesłaniała, rzekł do mnie z cicha, głosem drżącym, ale szczególnie miękkim i jakby rozłzawionym; był to ten sam głos jakim deklamował dumkę Bohdana: „*Pielgrzym w obcym kraju.*“

— Bądź zdrów! uściśnij odemnie *Ksawerego*, bo już z nim się nie zobaczę, a gdy daleka przestrzeń nas na długo rozdzieli, wspomnij z czasem na biédnego Piotra.

I po tych słowach zniknął mi z przed oczu!

Warszawa, 4 grudnia
1872 r.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

Nr 623841
KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
Nr 623841

Biblioteka WSP Kielce
0148600